EPOKA

ROK III. Warszawa, 5 października 1936 r. Nr. 9 (74)

Treść numeru:

NAJWIĘKSZA STAWKA

Ilekroć w złowrogim kształcie wystąpi jakieś niedomaganie społeczne, przebiegli diagności przemilczają celowo przed opinią istotne i poważne przyczyny złego stanu rzeczy, a próbują zagadać ją i zwrócić uwagę w innym kierunku. Tak się stało również po krwawych wypadkach w Żukowie, gdzie odpisano raz jeszcze ich tragiczny plon na rachunek „elementów wywrotowych". Nie trzeba chyba dowodzić, że taka metoda zacierania śladów prawdziwego zła jest tyleż chytra, co małoskuteczna, i przypomina chwyty tych kondotierów średniowiecznych, którzy dla zmylenia pościgu przybijali koniom swoim odwrócone do wewnątrz podkowy, aby śladowały w przeciwnym kierunku.

Takie wyłgiwanie się od rzeczywistości niema nic wspólnego ani z patriotyzmem, ani z poważną troską o jutro, ani też z miłością prawdy. Ciągłe, wprost nałogowe czy maniackie wskazywanie palcem na obcy żywioł wywrotowy i przypisywanie mu u nas siły i znamion legendarnego smoka, niczego nie tłumaczy i nie ułatwia odnalezienia dróg wyjścia.

Zamojszczyzna, świeża po Małopolsce, arena tragicznych zdarzeń, należy do tych połaci kraju, gdzie w sposób szczególnie ostry i zaogniony występuje zjawisko przeludnienia wsi. Wynikające stąd inne klęski społeczno - gospodarcze: masowe chłopskie bezrobocie, głód i nędza setek tysięcy ludzi, rozgoryczonych i złorzeczących na przyzbach i w opłotkach, szczególnie w Zamojszczyźnie przybierały dlatego cechy złowróżbne, że bezsilne i wyczerpane finansowo samorządy, co roku mocniej równające w dół swoje budżety, nie mogły łagodzić istotnego zła społecznego przez uruchomianie robót publicznych. Czyż trzeba wyjątkowych środków do odtworzenia prawdy tej beznadziejnej rzeczywistości i pokazania całej myślącej i czującej Polsce grozy położenia chłopów w Zamojszczyźnie, którzy od długich, gorączkowych i bezskutecznych poszukiwań pracy przechodzą do rozpaczliwych aktów protestu lub masowego, głośnego wołania o pomoc i ratunek?

W przeludnionej Zamojszczyźnie tworzy się silne zapalne ognisko radykalizmu bezrolnych i małorolnych chłopów. Ordynacja tamtejsza, obejmująca dziesiątki folwarków i tysiące hektarów pszennej gleby, okolona wieńcem wsi, przepełnionych bezrobotną rzeszą chłopską, staje się coraz bardziej czynnikiem jątrzącym i zarzewiem niepokojów.

Nie można również przeoczać zagadnienia bytu młodzieży wiejskiej, którą i tam bezpośrednio i bo-

leśnie dotyka klęska bezrobocia i którą życie z natury rzeczy uczyniło najczynniejszym i najbardziej twórczym żywiołem w ruchu ludowym. Prasa warstw pasożytujących, nawołująca władze do stosowania represyj i do rozgramiania kół Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz oddziałów Wici, popełnia odwieczny, srodze się mszczący błąd polegania na sile, nie uzmysławiając sobie zgoła nieobliczalnych następstw podobnej metody usuwania głębokich niedomagań społeczno - gospodarczych. Nieodróżnianie treści życiowej polskiego radykalizmu młodzieży wiejskiej, płynącego z samego rdzenia dzisiejszego bytu gromady włościańskiej, i podstępnie rozmyślne mieszanie go z komunizmem dla łatwiejszego dyskredytowania go i tępienia, nie usunie napewno istotnych przyczyn zła, nie sprowadzi uspokojenia, ani też nie obniży temperatury nastrojów, wprawiających naocznie już gromadę wiejską w stan ciągłego wrzenia.

Jakże żałosne a jednocześnie jakże karygodne z punktu widzenia dobra państwowego jest stanowisko tych, co ów wielki, naturalny, o dziejowym znaczeniu dla Polski współczesny ruch ludowy przedstawiają jedynie jako skutek podszeptów Moskwy?

Jakąż ślepotą trzeba być dotkniętym, ażeby nie dostrzegać prawdziwych przyczyn wielkich przemian dzisiejszych na wsi, płynących z polskiego gruntu, lub nie widzieć tych przeobrażeń życia i duszy gromady włościańskiej, które naocznie występują w olbrzymiej skali dziejowej, z udziałem wielu miljonów świadomych swych dążeń rolników, wytwórców i patriotów, rozegrać zamierzających największą stawkę: o całą polską ziemię orną i o całą wielką przyszłość Polski!

Ci wszyscy więc, co pojęli nową treść patriotyzmu polskiego, opartego o największe dziś dobro, o dobro olbrzymiej, żywej większości narodu, nie słyszą w poszumach chłopskiej wolności jakichś zdradzieckich podszeptów z dalekiej i obcej strony, lecz wyraźnie rozróżniają bratni i bolesny krzyk nowego, rodzącego się życia polskiego.

DEMOKRACJA GRZESZY SKROMNOŚCIĄ

Mody obowiązują nie tylko w dziedzinie mody, ale próbują to również czynić na terenie kultury, spraw społecznych i polityki. Próbują nieraz bez uzasadnienia, ale za to z tym większą natarczywością, która posługuje się krzykliwą reklamą, pozą nieomylności, grymasem znużenia, — słowem — psychicznym terorem. Moda to konwenans narzucony, nie przetrawiony i dla tego nie mający zazwyczaj głębszego uzasadnienia. Przypatrzyć mu się bliżej, nacisnąć mocniej, a zacznie bełkotać, cofać się i w końcu zniknie. Można mieć rację i wbrew modzie, byle tylko być pewnym swej racji i upierać się przy niej. Demokracja tego nie umie i to jest jej grzech największy, my więc, jej zwolennicy, musimy pośpieszyć jej z pomocą, czerpać naukę z jej nieśmiałości, wiarą naszą, impetem, tupetem, wzmacniać jej front.

Demokracja w oczach ludzi nie myślących własną głową — a jest ich przecież taka masa — była jeszcze wczoraj nie modna, jest nią jeszcze częściowo dziś, ale przykre doświadczenia sprawią może, że jutro ten stan rzeczy się zmieni. Demokrata w powierzchownym, lekkomyślnym sformułowaniu to starszy pan z r. 1848, w niskim kołnierzyku, z bokobrodami w ujęciu niemieckim i angielskim, z potężną nie czesaną brodą we francuskim, to poczciwiec pijący piwo i deklamujący w kawiarni na tematy wolności, równości i braterstwa. Słowem, poczciwe widmo dni ubiegłych, widmo melancholijne, śmieszne, bezsilne.

Koniunktura dla demokracji nie jest jeszcze najlepsza. W dolinach jest jeszcze ciemno, opinia tłumów jest zdezorientowana, ale zorza poczyna już błyszczyć nad szczytami, umysły nie zależne, kierujące, konstatują coraz mocniej i zgodniej, że obecny okres obłędu faszystowskiego i nacjonalistycznego musi runąć, że jednostka musi się obudzić, upomnieć o swoje prawa, zerwać więzy...

Mamy dwa wielkie obozy: demokracji i jej wrogów. Mamy typy pośrednie, złożone z czynników, zaczerpniętych z tej i tamtej strony. Mamy obóz zastoju i postępu, ale zastój lubi się ukrywać za demokratyczną maską, a radykalny postęp bywa nieraz tak niecierpliwy, że dla realizacji swoich celów, w istocie swojej demokratycznych, czerpie broń z arsenału duchowego reakcyjnego przymusu i gwałtu. Te odcienie, stylistyczne wtręty, te pożyczki i maski zacierają linię graniczną, zaciemniają sytuację.

Miarą postępu jest wiara w człowieka, uczynienie z niego miary rzeczy, wyzwalanie pracy, słowem altruizm, uczucie solidarności, sięgające jak najszerzej. Cechą reakcji jest zacieśnianie się w obrębie własnego egoizmu, własności, korzyści, pogłębianie różnic, budowanie i przeciwstawianie sobie wrogich światów, wynoszenie martwych bożków pieniądza i posiadania ponad godność i prawa człowieka.

Najmłodszą i najbardziej wojowniczą i szkodliwą formą reakcji jest reakcyjna dyktatura, która czarną barwą zamazała tak wielkie, niestety, połacie globu. Czarne te plamy są symbolami więzień fizycznych i duchowych, szczęku broni, przelewu krwi, groźnych haseł nienawiści i mordu, rzucanych przez wodzów, którzy ustawicznie odgrażają się wojną. Niemcy wprowadziły świat na koszmarną drogę zbrojeń, wiodącą niechybnie do wojny, faszyzm włoski karmi się krwią upolowanej niedawno zdobyczy abisyńskiej, pojętni uczniowie hiszpańscy utopili we krwi uchochaną — jak twierdzą — ojczyznę i ciemnych Maurów i Kabylów sprowadzili na nowo do Europy, a ci za pieniądze pomagają gnębić lud hiszpański, zrywający się do walki o swoje prawa, podsycają płomienie wojny domowej, obracającej w perzynę bezcenne wartości kulturalne. Duch starych carów moskiewskich odżył w moskiewskich dyktatorach, którzy przeciwników pozbawiają nie tylko wolności i życia, ale godności ludzkiej, brukając w ten sposób wielki cel wyzwolenia człowieka i uczłowieczenia pracy.

A mimo to jad dyktatorski nie przestał być zaraźliwy. Mimo to w krajach nie dotkniętych nim jeszcze znajdują się gorliwi i bezmyślni uczniowie i naśladowcy. Powolna, ostrożna droga demokratycznego rozwoju przestaje nęcić w okresach powszechnych przemian, zdenerwowania i zamętu.. Nie słucha się lekarzy i biegnie się do znachorów. Przestaje się wierzyć we własny rozum i pragnie się znaleźć zbawcę,

na którego możnaby zrzucić odpowiedzialność za los własny i zbiorowy. Wypłynęły na nowo na powierzchnię dziejów ponure lata średniowiecza z hordami biczowników, wydającymi walkę nie ciału własnemu, lecz duchowi.

System dyktatorski przelewa krew, dręczy, zabija, wiedzie w przepaść, ale pociąga urokiem rzekomej nieomylności, natychmiastowości, pełnią krzykliwej wiary, nie pozwalającą rozsunąć zasłon, po za którymi nie kryje się nic. Wielki obłęd wyrósł na duchowych i fizycznych ruinach wielkiej wojny.

Megalomanii zabójczych dyktatur przeciwstawia się mikromania, niestety, najlepszej, najbardziej wypróbowanej dotąd, ale dotkniętej nieuleczalną chorobą skromności — demokracji. Dyktatura jest monologiem, polem popisu dla obłąkanych lub szalbierczych solistów, a granice są zamknięte, myśl krytyczna tropiona jest i ścigana jak zwierzyna. W dookólnej ciszy dmą trąby autoreklamy, huczą melodie, gloryfikujące nienawiść, przelew krwi i podboje. Ludzka myśl została izolowana, zagłuszona, z człowieka robi się maszynę, słuchającą na skinienie. Manewry i pochody takiej zbiorowości są oczywiście szybkie i groźne. Garstka tyranów popędza miliony niewolników. Nadużycia i zbrodnie władców chronione są nakazem milczenia, grozą najsroższych kar. Na każde pytanie znajduje się odpowiedź najbardziej prymitywną, przemawiającą wprost do brutalnych instynktów.

Demokracja, oczywiście, nie może być ani tak sprawną, ani tak uzbrojoną. Jej zalety stają się w tej sytuacji wadami i zwracają się przeciwko niej. Oficerowie niemieccy, urzędnicy i sędziowie monarchistyczni, pozostawieni na stanowiskach przez pobłażliwą i dobroduszną republikę wejmarską, rzucili się jej do gardła i pomogli ją udusić. To samo powtarza się dziś w Hiszpanii. Najwięksi wrogowie republiki francuskiej korzystają z obowiązującej pełnej wolności prasy, denuncjują własny rząd, dają atuty w ręce wrogów, pomniejszają znaczenie własnego państwa. Dyktatury nie pozwalają wspomnieć o największych nawet nadużyciach członków warstwy rządzącej. W świetle demokratycznej swobody i kontroli każde uchybienie nie tylko może wyjść na wierzch, ale stać się bronią w ręku brutalnego, nieliczącego się z prawdą i jej proporcjami przeciwnika.

Dyktatura jest monologiem, wydaje rozkazy i hasła. Demokracja jest dialogiem, dyskusją, subtelną formą przekonywania się, przystosowywania, wychowywania. Trzeba wielkiej inteligencji i wielkiej zręczności, aby umieć używać tej formy. Wielcy mężowie stanu angielscy, francuscy, amerykańscy umieją posługiwać się tym kunsztownym narzędziem produkującym wolniej, ale za to pewniej i bezpieczniej. Barbarzyńca niszczy maszynę, której nie rozumie i do której nie dorósł, i ucieka się do prostszego i mniej skomplikowanego narzędzia, którym jest bat. Dyktatura prowadzi ryzykowną, nie przygotowaną ścieżką nad przepaściami i w przepaść. Demokracja ze swoimi instrumentami parlamentaryzmu, wyborami, prasą powoli bada grunt, przygotowuje plany, zbiera materiał i na tej podstawie buduje pewny i szeroki gościniec. Dyktatura zależna od jednostki, jej nerwowych odruchów i wstrząsów pełna jest możliwości najstraszliwszego ryzyka. Demokracja zabezpieczona jest szeregiem precyzyjnych hamulców, dającym prymat rozwadze nad instynktami.

I dla tego demokracja przy minimum blichtru, kosztów, ryzyka daje maximum wolności, bezpieczeństwa, trwałości. Demokracja jest giętka i umie się przystosować. Dyktatura jest formą sztywną, łamiącą przeciwników wewnętrznych i zewnętrznych, aby zakończyć się wreszcie katastrofą, która otwiera drogę lepszym możliwościom, powrotowi demokracji, unowocześnionej, uspołecznionej, wzmocnionej.

Demokracja jest z natury swojej skromna, pohamowana, krytyczna, pełna wątpliwości. Jej wielkie zalety, jej prawdomówność, jej szacunek dla człowieka, nie pozwalają rozwinąć hałaśliwej, jarmarcznej reklamy, nie liczącej się z faktami i rzeczywistością. A jednak demokracja musi stać się ofenzywną, stanowczą, musi nauczyć się nie tylko bronić, ale i atakować, jeżeli ludzkość nie ma zginąć wśród bezdroży, na które wprowadził ją nabrzmiały potwornie duch powojennej reakcji w zaostrzonej formie tyrańskiej dyktatury.

dr. Włodzimierz Jampolski.

Z DNIA NA DZIEŃ

HANIEBNY DOKUMENT.

Urzędowa agencja sowiecka TASS ogłosiła, co następuje:

„W odpowiedzi swej na demarche posła sowieckiego w Norwegii, Jakubowicza, minister spraw zagranicznych Norwegii wyliczając podjęte przez rząd norweski zarządzenia kontrolne wobec Trockiego oświadczył, że rząd norweski poddał Trockiego i jego żonę takiej kontroli, iż należy uważać za wykluczone, aby w przyszłości Trocki mógł podjąć jakąkolwiek akcję, która mogłaby zaszkodzić lub zagrozić interesom ZSRR.

„Ponieważ zarządzenia wspomniane w oświadczeniu rządu norweskiego nie mogą być uznane za rzeczywiste pozbawienie prawa azylu, Jakubowicz oświadczył ministrowi spraw zagranicznych Norwegii, iż podał do wiadomości rządu sowieckiego deklarację rządu norweskiego i że niestety rząd sowiecki nie uważa za możliwe uznać tej deklaracji za zadowalniającą i odpowiadającą przyjaznym stosunkom, istniejącym między ZSRR a Norwegią, oraz że — zdaniem rządu sowieckiego — rząd norweski odpowiedzią swą wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za skuteczność wydanych zarządzeń i za następstwa dalszego pobytu Trockiego w Norwegii".

Mamy tu do czynienia z czemś, na co nawet carat nie decydował się nigdy: rząd sowiecki domaga się od innego państwa zniesienia prawa azylu! To „posunięcie" rządu sowieckiego nie świadczy o politycznej przytomności.

Czy dodawać, że nie chodzi nam o osobę Trockiego? Czy wyjaśniać, czem w dziejach walk o wolność było prawo azylu? Nota rządu sowieckiego do rządu norweskiego jest dokumentem haniebnym.

WSTYDLIWA UCHWAŁA.

Na odbytym w Warszawie zjeździe publicystów i działaczów katolickich powzięto między innymi, następującą „uchwałę": „Ustrój społeczny należy przebudować w duchu korporacyjnym". Zwięzły ten postulat sformułowany został... wstydliwie. Pisarze i działacze katoliccy nie chcieli postawić kropki nad i. Co to znaczy „ w duchu korporacyjnym?" Jedynym państwem na świecie, które uważa się za państwo „korporacyjne" są faszystowskie Włochy. Więc

poprostu i nie tak bojaźliwie trzeba było powiedzieć, że „ustrój społeczny należy przebudować w duchu faszystowskim". Notujemy tę „uchwałę", która nas nie zaskoczyła.

Największą ruchliwością i elokwencją odznaczał się na tym zjeździe p. Adam Romer, który też zredagował uchwały zjazdu.

P. Romer jest człowiekiem kariery *a rebours:* był kiedyś szefem wydziału prasowego w Prezydium Rady Ministrów, po tym członkiem redakcji *Czasu*, a teraz jest współpracownikiem *Małego Dziennika Niepokalanów*. O jakim poziomie dziennik powstać jeszcze musi, żeby p Romer, w nim pracując, mógł nadal odbywać swoją drogę w dół?

NOWY SATANISTA

Powieściopisarz Jerzy Bandrowski, bojujący katolik i zawzięty klerykał, napisał w tygodniku *Kultura* artykuł p. t. „Czerwona tragedja". P. Bandrowski powtarza coprawda duby smalone o roli masonerii w hiszpańskiej wojnie domowej, ale zarazem stwierdza uczciwie, że przecież lud hiszpański chce się „wyzwolić z nieludzkiego ucisku sfer dotychczas panujących", że w Hiszpanii był „ucisk wiekowy", że działa się tam „krzywda społeczna", a teraz „lud w swoim rozumieniu walczy o wolność". Haniebne zaś okrucieństwa popełniane są zarówno ze strony czerwonych, jak białych. I w końcu dezyderat: „Niesprawiedliwość musi być usunięta, krzywdy muszą być wynagrodzone". Na taką opinię zdobył się p. Jerzy Bandrowski, którego sympatie są, oczywiście, po stronie hiszpańskiej rebelii.

Za tę opinię „neutralną" p. Jerzy Bandrowski został ostro skarcony przez *Czas* w artykule p. Władysława Sobańskiego p. t. „Quo wadis... „Kultura"? Artykuł p. J. Bandrowskiego — pisze p. Sobański — musi wywołać „bolesne zdziwienie", że „czołowy tygodnik katolicki udziela na swoich szpaltach gościny apoteozie pogodnej neutralności w stosunku do słusznie zatytułowanej czerwonej hiszpańskiej tragedii". Dalej — pytanie: „I to wszystko, co ma do powiedzenia pisarz katolicki, który sam walczył z bolszewizmem?" W końcu — tak: „Czy wolno mi spytać redakcję „Kultury", jak należy pogodzić „neutralność" jej współpracowników z nakazem Episkopatu polskiego w Liście Pasterskim z Częstochowy, że nic innego nie pozostało ludzkości i narodom, jak wybrać między chrystianizmem a satanizmem?"

A to się p. Jerzy Bandrowski doczekał! Już go zaliczono do sympatyków „satanizmu". Za to tylko, że coś tam bąknął o ucisku, o krzywdzie społecznej, że znalazł usprawiedliwienie nietylko dla „białych".

Poziom *Czasu*, który ma wielkie ambicje kulturalne, jest niekiedy żałosny.

POSZLI GDZIEINDZIEJ, A ZNALEŹLI SIĘ U SIEBIE...

Sporo już mamy dziennikarzy, polityków, dygnitarzy, nawet paru ministrów, którzy, przeszedłszy z endecji do sanacji, znaleźli się... u siebie. Zrazu było im trochę nieswojo, byli jakby jeszcze niepewni siebie, ostrożni, zalęknieni. Lecz z roku na rok, a teraz już z miesiąca na miesiąc czują coraz silniejszy grunt pod nogami.

Taki, naprzykład, p. Smogorzewski, berliński korespondent *Gazety Polskiej*. Po wielkim skoku z endecji do sanacji czuł się niewyraźnie i pisał niewyraźnie. Powoli jednak wracał do swojej przeszłości, stwierdzając, że właściwie nie jest tak znów bardzo „gdzieindziej". A teraz już czuje się całkiem, jak u siebie i może pisać o hitleryźmie z entuzjazmem.

PORNOGRAF Z ZA KADZIDEŁ

W *Czasie* z dn. 20 ub. m. p. Ksawery Prószyński (Grabiec) opierając się na przytoczonych w poprzednim numerze *Epoki* cytatach z powieści Doboszyńskiego „Słowo ciężarne" pisze w artykule p. t. „Pornograf z za kadzideł":

„Tygodnik *Epoka* zajmuje się działalnością Adama Doboszyńskiego w sposób, który szkoda, że nie poprzedził prac redakcji *Kultury*, boby ją uchronił od bardzo nieprzyjemnej i grubej kompromitacji... Nie jesteśmy przesadnie pruderyjni, nie robimy z siebie wzorów cnoty i moralności, ale zdaje się, że ten ustęp z książki herosa Piaseckich i Nowosądów, a co smutniejsze, herosów, przeciwstawianych przez *Kulturę* Maritainom, możemy nazwać gruntownie pornograficznym... Gdy Żeromski opisywał takie rzeczy — ale o ileż inaczej! — wołano o zgorszeniu. *Kultura* odsądza Maritainów od czci i wiary, przeciwstawia im nie kogo innego, jak Adama Doboszyńskiego... P. Nowosąd, który z taką pewnością siebie mógł w piśmie Akcji Katolickiej zapewniać o przyszłej linii postępowania Kardynała Prymasa Polski, pan Nowosąd, który napadał na ostrożny wobec uświęcania Doboszyńskiego *Głos Narodu*, który gromił starczość w *Buncie Młodych*, może sobie powiedzieć, że jego wódz nowego katolicyzmu polskiego ma tu zacięcie starego, wyleniałego lowelasa... Dobry przewodnik, niezła ars amandi... Ów uczeń św. Tomasza, wyganiacz kupczących, pogromca i demaskator Maritainów, a wreszcie proklamowany przez katolickie pismo nowoczesny katolik, nauczyciel, wygląda w świetle tych cytat nieco inaczej, niż w dymie kadzideł pochwalnych".

Tak, tak — nieco inaczej... *Epoka* uznała za właściwe ukazać bohatera endecji w świetle prawdziwym. Strąciliśmy z piedestału tę postać i sądzimy, że usunięta będzie z szeregu wodzów polskiego faszyzmu. Jeżeli, naturalnie, w tej sferze obowiązuje jeszcze jakiś smak moralny.

KOŁOWACIZNA.

Ludzie, którzy w dobrej wierze nie odróżniają barw i odcieni pism lub kierunków polityczno-społecznych, są poprostu ignorantami, inni zaś, co nie cierpią na daltonizm, lecz świadomie i z wyrachowania tak postępują, są oszczercami i powinni być ścigani jak szulerzy za grę fałszywymi kartami.

W 6-tym numerze naszego pisma daliśmy sporą wiązankę sądów o *Epoce*, godnych inteligencji i smaku ich autorów, ale okazuje się, że szarańcza ta coraz częściej napada i obsiada i inne zagony pracy. Oto bowiem redakcja *Zielonego Sztandaru*, organu Stronnictwa Ludowego, podaje, że endecja zarzuca mu, iż łączy się z Frontem Ludowym, organizowanym przez komunistów, inni równocześnie oblegają to stronnictwo za to, że przeciwstawia się temu Frontowi i zwalcza komunistów. Endecja nazywa ludowców pachołkami żydowskimi, żydzi narodowcy zaś pomawiają ich o zoologiczny antysemityzm i t. d. Słusznie też w końcu oświadcza redakcja *Zielonego Sztandaru:* „Radzimy naszym wrogom, żeby się porozumieli między sobą i uzgodnili między sobą, jak mają nas oczerniać".

Ale jakich znamion komizmu przybiera ta kołowacizna, świadczy to, że redaktor konserwatywnego *Słowa* wileńskiego, p. Cat-Mackiewicz, zdecydowany wróg komunizmu i Sowietów, który Stalina nazwał niedawno „największą kanalią" pomówiony został, według własnych słów, o... *filobolszewizm*. Tableau!

SZYBKOBIEŻNA MASZYNA REAKCJI

Już drugi rok wychodzi w Niepokalanowie pięciogroszowe pisemko codzienne p n. *Mały Dziennik*, o którego metodach wydawniczych nieprzychylnie pisał nawet pobratymczy *Kurier Poznański*. To pisemko wydają świątobliwi o. o. Franciszkanie, a chociaż reguły zakonne zalecają bractwom pokorę, bogobojność, miłość bliźniego i t. d., to jednak *Mały Dziennik* nie wyróżnia się wcale ani miłością bliźniego, ani zwłaszcza pokorą; przeciwnie, jest to jedno z najbardziej buńczucznych i zaczepnych pism, wychodzących w Polsce, nie przebierające w środkach walki z przeciwnikami.

Ostatnio odbyła się w Niepokalanowie podniosła uroczystość poświęcenia nowej, szybkobieżnej maszyny rotacyjnej dla *Małego Dziennika*. Uroczystość tę uświetnili swoją obecnością: przedstawiciele Prezydium Rady Ministrów, Województwa i Starostwa Powiatowego oraz dostojnicy kościelni: ks. kardynał Kakowski i ks. biskup Gawlina.

AUTORYTATYWNE SPONIEWIERANIE AUTORYTETU

Stała Delegacja polskich zrzeszeń emerytalnych udała się do kierownika wydziału emerytalnego w Ministerstwie Skarbu, p. Linkera, aby się dowiedzieć o treści opracowanego tam projektu nowej ustawy emerytalnej. Pan kierownik odczytał Delegacji postanowienia tej ustawy i jednocześnie zapowiedział, że zostanie ona w całości wniesiona do Sejmu, który ją bezwarunkowo przyjmie.

Niezachwianą zaś pewność co do tego, p. kierownik opiera na tem, *że żaden poseł nie będzie się sprzeciwiał projektowi rządowemu*. I po tem rozlega się krótkie, ale ogłuszające, jak niespodziewany grom, oświadczenie, mające unicestwić wszelkie w tym względzie wątpliwości: *„Panowie znacie dzisiejszy Sejm"*.

Nadstawiając ucha, zdumiony człowiek pyta: Skąd ten głos się rozlega? Kto to mówi? Czy jakiś plebeusz, bluzgający jadem na elitę Walerego Sławka? Czy może jakiś wyniosły, zdetronizowany suweren z epoki sejmowładztwa, patrzący z pogardą na milcząco - kontemplacyjną Izbę? Ale gdzież tam! Ten sąd o prawodawcach ,niby o czeladzi poselskiej, wydaje wysoki urzędnik ministerialny. Ponoć niektórzy posłowie, czując się dotknięci na honorze, wnoszą do laski marszałkowskiej stanowczy protest przeciw poniżaniu godności poselskiej i powagi Sejmu.

SYMBOLICZNY DOWCIP

Związek Propagandy Turystyki m. st. Warszawy urządził pokaz p. n. „Noc ognia". We wzmiankach reklamowych pisano, że widowisko to będzie „ścinało krew w żyłach". Niespragnieni takich emocyj, na „Nocy ognia" nie byliśmy, wyręczamy się więc notatką sprawozdawczą *Kuriera Warszawskiego:*

„Pokaz miał polegać na zademonstrowaniu publiczności akcji ratunkowej straży pożarnej oraz na popisach pirotechnicznych. Pierwsza część programu nie dopisała zupełnie. Umyślnie zbudowana czteropiętrowa ściana drewniana, mająca, według informacyj, podawanych przez megafony, imitować „fabrykę dynamitu" (?), nie chciała się zająć. Daremnie „zerwana ze snu" straż pożarna nietylko w ciągu minuty po sygnale trąbkowym wyruszała już na swych wielkich wozach motorowych na ratunek, a widząc, że pożar nie wybucha, okrężną drogą ciągnęła „do ognia" powolutku — nic nie pomagało — „fabryka" nie chciała się zapalić! Wreszcie powkładano w okna liczne ognie bengalskie — ściana pozostała nienaruszona i akcja ratunkowa skończyła się na „markowaniu"

Typowe to u nas „nabieranie gości". A ognie sztuczne zamiast prawdziwego — wielce to symboliczny w naszym życiu dowcip.

BISKUPI NIEMIECCY POD KOMENDĄ HITLERA

(Korespondencja z Berlina)

Biskupi katoliccy Niemiec zdawiendawna odbywają konferencje doroczne, na których ustalane bywają wytyczne polityki kościelnej w stosunku, zarówno do rzeszy wyznawców, jak do rządów państwa. Episkopat Niemiec północnych zbiera się w Fuldzie, Niemiec południowych we Freising. Rok obecny musiał dostojnikom kościoła nastręczać zagadnienia szczególnej wagi, gdyż wszyscy zjechali się na narady w jednym miejscu, w Fuldzie, u grobu św. Bonifacego, patrona Niemiec. I rzeczywiście, sytuacja kościoła rzymskiego w Niemczech nie była nigdy jeszcze, od czasu objęcia rządów przez Hitlera, tak zagrożona przez ataki „socjalizmu narodowego", jak obecnie.

Ale srodze omylili się ci, co od infułatów i purpuratów niemieckich oczekiwali postawy, któraby godną była odpowiedzią na wrogie napaści neo-poganizmu. Zamiast bojowej chorągwi odporu i nieprzejednania, z murów Fuldy powiała biała chorągiew kapitulacji. A wyrazem tej kapitulacji stał się historyczny już dzisiaj dokument — list pasterski, który w niedzielę 30 sierpnia odczytano uroczyście z ambon wszystkich kościołów Rzeszy, list noszący podpisy trzech kardynałów, trzech arcybiskupów i piętnastu biskupów niemieckich. List ów — wprawdzie — zawiera w sobie ustęp, upominający się o wolność dla organizacyj katolickich, ale żądanie to jest tylko płatkiem figowym, ukrywającym jądro rzeczy. Jądrem zaś jest nie co innego, tylko uznanie politycznego i moralnego w narodzie niemieckim przewodnictwa Adolfa Hitlera i pasowanie go na wodza zbrojnej krucjaty przeciw „bolszewizmowi".

Że w języku biskupów rzymskich mianem „bolszewizmu" piętnuje się to wszystko, co staje wpoprzek drogi feudalizmowi zarówno finansowemu jak wielkoziemiańskiemu, tego chyba nikomu nie trzeba dowodzić. Wszelkie zresztą wątpliwości w tym względzie rozproszyli sami arcypasterze kościoła, stając w liście swym po stronie zbuntowanych generałów hiszpańskich i zdaleka błogosławiąc ich na walkę z młodą demokracją pracowniczą.

> *Okropne położenie, które stało się udziałem nieszczęsnej Hiszpanji — czytamy w liście biskupów — daje nam wiele do myślenia. Nie będziemy kładli raz jeszcze nacisku na akty barbarzyństwa, których, ku grozie całego świata cywilizowanego, dopuszcza się motłoch, podszczuty fałszywymi obietnicami wysłanników Moskwy. Gdyby Hiszpanja uległa bolszewizmowi, los Europy nie byłby może jeszcze przesądzony, ale musiałby wzbudzić dręczący niepokój. Zadanie, przypadające w udziale naszemu narodowi i naszej ojczyźnie, narzuca się samo przez się. Oby nasz Führer z pomocą bożą zdołał to niesłychanie trudne zadanie wypełnić przy niezłomnym i wiernym współudziale wszystkich naszych rodaków.*

Powyższe namaszczone frazesy świadczą, że kościół katolicki w Niemczech śpieszy z hołdem wiernopoddańczym do stóp Führera, składając w jego ręce miecz do walki z bolszewizmem i w niepamięć puszczając krzywdy i zniewagi, których sam odeń doznawał i na które jeszcze niedawno tak głośno się skarżył. Że krzywdy te zbladły w zestawieniu z tym, co hierarchję kościelną spotkało w ludowej republice Hiszpańskiej, wierzymy bardzo. Biskupi, zgromadzeni w Fuldzie, mogli powiedzieć sobie, że szykany ustroju hitlerowskiego są drobiazgiem i że ustrój ten

położył kolosalną dla kościoła zasługę przez zdławienie samodzielnego ruchu robotniczego. Nie taimy również, że stanowisko takie odpowiada ogólnym tezom Watykanu, który w emancypacji proletarjatu widzi największą groźbę dla władztwa kleru.

Czy jednak te przesłanki odległe mogły być dość silne na to, aby na kolana przed Führerem powalić dumny episkopat niemiecki? Dość silne, aby krzyż w jego ręku podporządkować swastyce na sztandarach Hitlera? Kto zna politykę kościoła na przestrzeni wieków, jego bezwzględność w walce, jego ambicję sięgania zawsze po pierwszą rolę i po najwyższe miejsce, ten wie, że kler nie poddaje się nigdy, dopóki nie jest przyparty do muru. Nie cofa się nigdy, dopóki nie jest wzięty na wędzidło. Cóż tedy stało się tym wędzidłem, które rządom hitlerowskim pozwoliło okiełznać i osadzić na miejscu katolicki kler niemiecki?

Założenia państwa totalnego wyłączają, jak wiadomo, wszelkie współzawodnictwo tam, gdzie chodzi o urabianie umysłowości i duszy młodego pokolenia. Wyłączność taka atoli musiała zetrzeć się gwałtownie z odwiecznym dogmatyzmem kościoła katolickiego, który również rości pretensję do monopolu w dziedzinie wychowania dzieci i młodzieży. W taki to sposób stanęły przeciw sobie dwa autorytety, dwie metody tresury ludzkiej: obie bezwzględne, obie nie przebierające w środkach.

Obaj zapaśnicy, przy całej rozbieżności swych dogmatów, zgadzali się przecież w jednym: oto z góry postanowili odrzucić w swych zapasach broń ideową i walczyć wyłącznie podstępem, intrygą i szantażem, wyciągając nawzajem swe brudy i wygrywając je następnie, jako kapitalne atuty.

Kościół bronił się w tej walce długo i uporczywie. Nie dawał się zastraszyć ladajakim groźbom i na wyzwanie odpowiadał wyzwaniem. Gdy oskarżono szereg zakonników o przemyt waluty niemieckiej za granicę, było to oskarżenie przykre, ale nie zabójcze. Kler spotkał je podniesionym czołem; mężnie wytrzymał zarzuty, które nie zawsze były uzasadnione; nie uląkł się procesów sądowych; bronił każdej pozycji zosobna; nie uląkł się nawet skazujących wyroków. Wiele klasztorów zapłaciło ciężkie grzywny; wielu mnichów zasiadło w więzieniu; ale kościół nie ustąpił z pola walki. Wielkim odciążeniem moralnym dla skazanych braciszków zakonnych było przeświadczenie powszechne, że, jeśli uprawiali przemyt pieniędzy, to nie dla korzyści osobistej, ale w interesie swej organizacji międzynarodowej, mającej w programie cele misyjne i prace charytatywne, rozproszone po całej kuli ziemskiej. Czyż — szemrali katolicy — polityka dewizowa Trzeciej Rzeszy może powstrzymać dzieło nawracania Murzynów w Afryce środkowej? Czyż można dopuścić, aby ona sparaliżować miała działalność rzymskiej kongregacji *de propaganda fide?* Zakony, łamiąc finansowe ustawy dra Schachta, ściągały na siebie prześladowania świeckie, ale miały jakgdyby pewne prawo twierdzić, że nie sprzeniewierzały się celom swego duchownego powołania. Jeśli wierność dla celów tych okupywały grzywną i latami więzienia, to z cierpień tych mógł wyrastać nawet pewien kapitał moralny dla kościoła.

Już w obozie katolickim odzywały się radosne okrzyki, wyrażające nadzieję, że szatańska nawałnica przewaliła się bokiem, nie wyrządziwszy szkód zbyt poważnych, gdy nagle z jakiegoś głuchego klasztornego zakątka nadbiegła wieść, która miała zatrząść posadami episkopatu i wywrócił całą jego dotychczasową, pewną siebie, postawę. Wieść była tak wstrząsająca i okropna, że zrazu nie chciano jej wierzyć, nie chciano jej odemknąć dostojnych i wysokich uszu. Czyżby rząd „narodowo - socjalistyczny" nie gardził aż takim chwytem? Ale wieść jęła się grzmotem podziemnym toczyć po kraju, i mogła lada chwila wybuchnąć piorunem jawnego zgorszenia. Trzeba więc było przyjąć do wiadomości to, przeciw czemu wzdrygał się autorytet kościoła. Tymbardziej, że już nie z jednego klasztoru, ale z wielu ośrodków klasztornych, z całego niemal zakonu O. O. Franciszkanów, szły złowieszcze sygnały, potwierdzające ową pierwszą wieść hiobową...

Lecz cóż się stało?

Sądowe władze śledcze, wdarłszy się do zacisza gmachów i ogrodów klasztornych, wyniosły stamtąd materjał dowodowy, mający naocznie wykazać publicznej opinii niemieckiej, że to, co uchodziło za przybytki wybranej cnoty i dyscypliny moralnej, było gniazdem rozpusty i zwyrodniałych nadużyć płciowych. Od czasów Marcina Lutra nikt chyba tak zuchwałym nie zamierzył się ciosem w łono kościoła rzymskiego. Z danych śledztwa, a przedewszystkiem z zeznań, które złożyli sami braciszkowie zakonni, badani przed sądem, okazało się że aż nazbyt wielu wśród nich ulegało zdrożnym pokusom i grzechom homoseksualizmu.

Schludność pióra a także względy na hygienę moralną nie pozwalają nam na roztoczenie całego obrazu zgnilizny, jaką wykryło śledztwo sądowe na gruncie klasztorów niemieckich. Poprzestaniemy więc — dla przykładu — na wyliczeniu kilku mnichów, którzy zostali nietylko oskarżeni, ale i skazani wyrokiem sądowym na mniej lub więcej ciężkie kary więzienia za swe nałogowe a nieobyczajne czyny.

1. Franciszkanin brat Emanuel (nazwiskiem Flossdorf, ur. w r. 1886 w Bonn). Przyznał się on, że uprawiał nałóg swój od r. 1929, zaspokajając swe popędy płciowe najczęściej podczas modłów wieczornych. Zaznaczyć trzeba, że przeor klasztoru był o tem powiadomiony, lecz pokrywał sprawę milczeniem aby nie budzić skandalu. Brat Emanuel został skazany na 2 lata więzienia, z zaliczeniem 4 miesięcy aresztu śledczego.

2. Brat Dietrich (Eisenauer, ur. w r. 1906) przyznał się, że łącznie z innymi braćmi franciszkanami oddawał się haniebnemu nałogowi zaraz po komunii, przyjmowanej celem uodpornienia się przeciw pokusie grzechu. Skazany został na rok więzienia, z zaliczeniem 4 miesięcy aresztu śledczego.

3. Brat Angelius (Franz Gielczyński) odznaczył się tym, że na ofiary swe wybierał chorych, umysłowo upośledzonych, w szpitalach klasztornych, w których pracował (Waldbreitbach, Kolonia, Ebernach). Skazany na rok i 8 miesięcy więzienia, z zaliczeniem 6 miesięcy aresztu śledczego.

4. Brat Achatius (Josef Neumann) został przez swych rodziców, gdy miał lat 14 i pół, wysłany do klasztoru na naukę ślusarstwa. Czuł jednak niechęć do życia zakonnego i prosił swego wuja, ówczesnego generalnego przeora franciszkanów w Niemczech, brata Camillusa, aby go zwolnił z klasztoru. Ponieważ prośbie jego nie uczyniono zadość, przestał panować nad zmysłami i oddał się grzesznej chuci. Przyznał się do 12 wypadków. Skazany został na pół roku więzienia.

Zapuszczając zasłonę na dalsze czwórki tego po-

nurego orszaku, ograniczymy się do stwierdzenia, że ogółem takich czwórek potępieńczych naliczono aż... 69. Tak jest! Przez ławę podsądnych w tym potwornym procesie przesunęło się, ni mniej — ni więcej, tylko 276 habitów zakonnych. Czy to nie Sodoma i Gomora? Ludzie, którzy oddali się służbie ascetycznej, którzy wstąpili do klasztoru, aby tym pilniej przestrzegać zasad miłości bliźniego, dopuszczali się czynów, które miłości tej wystawiały okropne i nieoczekiwane świadectwo. Ludzie, powołani do pielęgnowania chorych, krzywdzili i znieważali swymi zdrożnymi afektami osoby, które były powierzone ich opiece. Głównym bowiem zastępem, z którego grzeszni bracia-zakonnicy rekrutowali swe ofiary, byli chorzy, z zaufaniem oddający się opiece klasztorów franciszkańskich. O upadku moralności w Niemczech świadczy fakt, że nad połową całej niemieckiej braci franciszkańskiej zawisła kara więzienia za nadużycia płciowe. Co więcej: prawie wszyscy oskarżeni przyznali się jawnie do zarzucanych im wykroczeń, tak, że władze sądowe nie miały dużego kłopotu z przeprowadzaniem dowodu winy. Rzeczą zaś najposepniejszą w tym wszystkim jest fakt, że zakonne władze nadzorcze, wiedząc o wykroczeniach mnichów, nie przedsięwzięły były niczego, aby kres położyć rozpasaniu.

Wypadki imienne, opisane przez nas powyżej, (bracia: Emanuel, Dietrich, Angelius, Achatius), należą do kategorji lżejszych, co wynika z porównania wymierzonych im kar, z karami, które dosięgły innych podsądnych. Jakichże orgii dopuszczać sie musieli osobnicy tacy, jak ks. Leowigild, brat Oswald albo brat Linus, którzy otrzymali po 4, 6 i 8 lat ciężkiego więzienia!

A może ci skazani bracia franciszkanie byli niewinni? Może cały ten monstrualny proces był wyreżyserowany przez Gestapo (tajną policję hitlerowską)? Może był taką samą maskaradą teroru i samoupokorzenia, wystawą bestjalstwa władców i poniewierki ludzkiej, jak słynny moskiewski proces „trockistów", oskarżonych, skazanych i rozstrzelanych z rozkazu dyktatora i — ku jego chwale?

Ale w takim razie gdzież są protesty biskupów? Gdzie klątwy kościoła, spadające na głowy bezbożników, którzy poważyli się zohydzić godność sutanny i świętości habitu zakonnego? Niestety: na klątwy i protesty czekaliśmy napróżno. Na cios zniewagi nie odpowiedziano uderzeniem gniewu. Z wyżyn Watykanu nie ozwał się grom anatemy. Przeciwnie! Kościół nietylko sam nie rozdarł z trzaskiem szat oburzenia na widok stawionych pod pręgierzem mnichów, ale całej wagi swoich wpływów użył, aby groźną sprawę pokryć ołowiem milczenia. Silentium! Silentium! Cisza-sza-sza-sza! Ani słowa, ani słówka o tej strasznej przygodzie! Zgodzić się na wszystkie warunki hitleryzmu, zaofiarować mu nawet więcej, niż sam żądał, ale — na rany boskie! — nie rozmazywać skandalu, nie apelować do sumienia narodu!

I nad sprawą oskarżonych i skazanych braci franciszkanów zaległo milczenie. Czyż jednak pieczęć tego milczenia nie przypieczętowała ich winy? Wszak kto nie korzysta z prawa apelacji, ten się zgadza z wyrokiem. A kościół katolicki w Niemczech nietylko zrzekł się apelacji, ale sam, własnoręcznie, wyrok sądów hitlerowskich podpisał, ogłaszając w Fuldzie uchwały, które gloryfikują Hitlera i wzywają wiernych do oddania się pod jego komendę. List pasterski, ogłoszony z ambon kościołów niemieckich w d. 30 sierpnia był zredagowany, jako akt kapitulacji kleru wobec dyktatury hitlerowskiej i tak też został powszechnie zrozumiany, a przede wszystkim tak przyjęty był w kołach narodowo - socjalistycznych. Kanclerz Hitler powitał list biskupów, jako akt wiernopoddańczy, i kazał natychmiast, na znak ugody, zawiesić dalsze ściganie przez sądy skompromitowanych mnichów. Organ Goeringa „National Zeitung" ogłosił list pasterski w obszernych wyciągach, podkreślając miejsca najbardziej znamienne, jako złoty most pojednania między katolicyzmem a „narodowym socjalizmem". Tym złotym mostem stała się wspólna krucjata przeciw t. zw. niebezpieczeństwu bolszewickiemu.

Kler katolicki spróbował walki z dyktaturą rasizmu i — przegrał, potknąwszy się o progi swoich własnych klasztorów. Załamał się na celibacie swych mnichów, tej jańczarskiej gwardii kościoła. Załamał się na tym samym celibacie, który niegdyś był najtęższą rękojmią sprawności i dzielności jego bojowych szyków, lecz dziś, jak pokazały rewizje klasztorów, stał się już tylko maską, pokrywającą rozprzężenie moralne. To, co w dawnych wiekach było źródłem siły dla kościoła, obecnie, wyzute z treści wewnętrznej, stało się jego wstydem i zakałą. Tę zakałę wypatrzyli hitlerowcy z iście szatańską bystrością i postanowili ugodzić w nią bez pardonu.

Bismarck, który przed pół wiekiem z górą rozpętał przeciw kościołowi swój osławiony *kulturkampf*, zmuszony był po kilku latach złożyć broń i prosić o pokój. Mierzył w głowę przeciwnika i został pobity. Hitler okazał się sprytniejszy: wymierzył cios znacznie poniżej głowy i — trafił w cel, o który mu chodziło. Ubezwładnił on duchowieństwo katolickie przez wydanie mu bitwy na takiem polu, na jakiem ono nigdy z otwartą przyłbicą stanąć nie zdoła.

M. Z.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

ZLEKCEWAŻONE HEREZJE

Czy przypuszczał Jan Parandowski, że jego powieść „Niebo w płomieniach"*) będzie przyjęta z taką przychylnością w prasie... klerykalnej?

Zastanawiająca historja: książka pełna klasycznych herezyj została oceniona w tym odłamie prasy jaknajżyczliwiej. Wprawdzie jaknajmniej miejsca poświęcono w recenzjach samej treści książki, za to gorącemi pochwałami obdarzono pisarza za świetny styl.

Czy to jakiś niezwykły w naszych stosunkach objektywizm? Czy zdolność do uznania talentu pisarza, który, choć atakuje przesądy religijne, dał książkę o wybitnych walorach literatury? Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takiego objektywizmu ze strony prasy reakcyjnej. Rzecz to powszednia — we Francji naprzykład. Tam powieść Celine'a „Podróż do kresu nocy", tak pełna rzeczy „drastycznych" wywołała w prasie reakcyjnej pochwałę niepospolitego talentu autora. U nas — inaczej. Samo poruszenie pe-

*) *Jan Parandowski:* Niebo w płomieniach. Powieść. Warszawa 1936. Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

wnych kwestyj i zagadnień, uznanych za nietykalne tabu, wywołuje panikę i zgorszenie. Nikt już w prasie katolickiej nie napisze, że Zegadłowicz ma talent, chociaż „Zmory" tak są dla kleru nieprzyjemne.

Skądże tym razem, wobec „Nieba w płomieniach" taka życzliwość? Czemu, między innymi, na łamach „*Czasu*" powitano tę powieść z entuzjazmem?

Nie, to nie objektywizm. To solidarne zlekceważenie herezii, przebiegłe pominięcie istotnego sensu rzeczy, świadome i celowe przemilczenie samego tematu powieści. Trzeba przyznać, że ze strony prasy klerykalnej było to dowcipne załatwienie się z powieścią Parandowskiego. Napisali życzliwie o zaletach stylu Parandowskiego, o pięknie rzewnych wspomnień z dawnego Lwowa, o miłosnych niepokojach bohatera powieści, a to co jest tej powieści sensem istotnym — zlekceważyli.

Młody Teofil, uczeń dawnej austriackiej szkoły średniej, pod wpływem przypadkowo przeczytanych książek, traci wiarę religijną, stwierdza sprzeczności pomiędzy dogmatami a danymi nauki. Na drogę myśli naukowej wprowadza go również jeden z profesorów. Krytyczny stosunek do Kościoła podsyca w Teofilu niemoralna postać katechety. Upadek wiary Teofila i jego niechęć do kleru przyprawiają jego rodziców o głęboki lęk. Rozmowy pomiędzy ojcem, dygnitarzem austriackim, a synem, nie prowadzą do niczego. Ojciec nie potrafi odeprzeć argumentów syna, zaczerpniętych z dzieł Renana, Straussa, Radlińskiego, Niemojewskiego.

Teofil przeżywa głęboki kryzys psychiczny, męczy się, szuka oparcia w nowych drogowskazach, To, co przytacza z dzieł przeczytanych, nie zostaje odparte przez nikogo.

Z bolesnego przełomu wydostaje go całkiem nowa sprawa: miłość, pierwsze niepokoje erotyczne. Tamte zakłopotania i męki duchowe schodzą na plan drugi, wreszcie jakby całkiem znikają.

Znikają? No to chwała Bogu! — orzekły te pisma klerykalne, które tak życzliwie potraktowały książkę Parandowskiego. A więc były to tylko przejściowe, młodzieńcze, niezbyt szkodliwe „zmartwienia". „Zgodnie z prawami młodego życia Teofila — pisze *Czas* — wątpliwości i rozterki duchowe ulegają ściszeniu przez rozkwit pierwszej miłości. Wątek ten, którego narodziny śledzimy już we wcześniejszych rozdziałach powieści, stanowi właściwe zakończenie budowy powieściowej, wprowadzające zarazem psychologicznie i artystycznie uzasadnione uspokojenie"...

Więc wszystko w porządku: były bogoburcze „rozterki", były słowa pogardy dla kleru, była rewolucja pojęć, a po tym — przyszła miłość i — „zgodnie z prawami młodego życia" wszystko to uległo „ściszeniu". Niema więc powodu do alarmu. Autor włożył w usta swego bohatera słowa bluźniercze, wrogie religii i Kościołowi, ale skoro w końcu chłopczyk się zakochał i sprzeczności pomiędzy religją a nauką przestały go męczyć, może prasa klerykalna uznać tę książkę za nieszkodliwą, a nawet za wskazówkę, jak najlepiej „ściszyć" tego rodzaju rozterki. Poprostu: niech się chłopak zakocha. Miłość Teofila usunęła konflikt zrazu tak tragiczny. Teofil nie zdążył się jeszcze umocnić w świecie myśli naukowej, kiedy zaczęły w nim działać „prawa życia". Niechże więc te prawa działają jaknajsilniej, a wierzeniom religijnym nic nigdy grozić nie będzie.

Parandowski ułatwił prasie klerykalnej zlekceważenie antykatolickich tez książki. *Darowano mu herezje* za „uspokajające" rozdziały końcowe. Sprzeczności pomiędzy religją i nauką zostały w tej książce uwydatnione w sposób, który powinien był rozgniewać nasze sfery klerykalne. I przyprawiłby je o gniew, ściągnąłby niechybną klątwę na Parandowskiego, gdyby nie to zakończenie powieści.

Powieść Parandowskiego zawiera jednak sporą dozę „trucizny", czyli argumenty antywyznaniowe nieodparte. Teofil opiera swe rozumowanie na książkach autorów dawnych, lecz stąd bynajmniej nie wynika — jak to pisano tu i ówdzie — że są to spory „przebrzmiałe": pomiędzy dogmatem religijnym a myślą naukową zachodzi taka sama sprzeczność dziś, jak za czasów Renana. Kontradykcje ewangieliczne są te same, co za czasów Straussa. Sprzeczność pomiędzy wykładem szkolnego katechety a naukami przyrodniczymi nie zmniejszyła się od czasów Radlińskiego. To, co Teofil za innymi cytuje i zestawia, ma tę samą wymowę dziś, co i dawniej. A że się zakochał i przestał o całym konflikcie myśleć, nie zmienia to sensu samego zagadnienia. Może ono być „nieaktualne" jedynie wśród młodzieży, która nie chce myśleć — nietylko dlatego, że młodzieńcza miłość te rzeczy „ścisza", lecz dlatego, że wogóle myśleć przestaje, w głowach swoich gromadzi stek sprzeczności i niekonsekwencyj, nie dba o myśl logiczną i odpowiedzialną, chwaląc natomiast mocno dziś reklamowany „irracjonalizm", który tak świetnie zwalnia od wszelkiego trudu myślenia.

Jerzy Kłos.

LEKTURA ZOBOWIĄZUJĄCA

We wstępie do nowego tomu „Pamiętników chłopów"*) pisze Maria Dąbrowska: „Pamiętniki chłopów" są lekturą w najwyższym stopniu zobowiązującą. Zobowiązującą jako przestroga równa w sile przestrogom Skargi czy proroków biblijnych i zobowiązująca jako wskazanie kierunku dla wszystkich wysiłków polskiej pracy zbiorowej. Bo koniec końców Polska jest i będzie tym, czym są i będą chłopi, a nie tym, czym się sobie już dziś być wydaje w swych ambitnych, a tak często powierzchnię życia tylko zatrącających poczynaniach i osiągnięciach. I nigdy nie będzie w żadnym sensie mocarstwem, póki chłop jej będzie słaby, ciemny, biedny, tylu rzeczy pozbawiony i tylu rzeczy nadaremnie spragniony".

Nic bardziej słusznego. „Pamiętniki chłopów" są istotnie lekturą zobowiązującą, jako bezcenny materiał orientacyjny, jako suma tej wiedzy o życiu ludu wiejskiego, która prowadzić musi do rzetelnych społeczno-politycznych wniosków.

Te dwa tomy, z których pierwszy jest wielką księgą bólu i niedoli ludzkiej, drugi — obrazem straszliwej walki o byt na wsi i po za wsią, niosą naukę niezastąpioną, pełne wymowy dokumenty, prawdę nieosłonioną żadnymi frazesami. Tu się mówi o rzeczach przeżytych i przecierpianych. Słowami prostymi, bezpośrednimi, więc najbardziej sugestywnymi. Znakomita większość autorów pamiętników, zawartych w tomie poprzednim i wszyscy autorzy nowej

---

*) „Pamiętniki chłopów". Seria druga. Warszawa 1936. Wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego.

serii pamiętników — to ludzie dalecy od jakichś pretensyj literackich, choć nieraz, a może właśnie dlatego osiągają efekt wstrząsający, budzący współczucie najgłębsze, kiedyindziej — uczucie zdumienia i grozy. Nie jest to „literatura", a przecież — źródło wrażeń silniejszych, niż te, jakie niesie niejedna doskonała powieść. Tu „powieścią" niekiedy — zdawałoby się fantastyczną — jest samo życie.

W niektórych pamiętnikach uderza niesłychane bogactwo przeżyć i wydarzeń w ramie życia jednego człowieka, a zarazem podziw budzi umiejętność zrekonstruowania wszystkiego, co się przecierpiało, wszystkich zwycięstw i klęsk, radości i rzeczy przerażająco smutnych. Walka o byt nie toczy się tutaj w jakiejś beztreściwej „szarzyźnie". Bynajmniej. Jest pełna „sensacyj", niespodzianek, przemian, nowin, wrażeń niezwykłych. Wielkie to, wielobarwne, pełne dramatycznego napięcia życie. „Pamiętniki chłopów" to lektura „sensacyjna" w najlepszym znaczeniu tego określenia.

Wśród licznych, tak cennych wydawnictw Instytutu Gospodarstwa Społecznego te dwa wielkie tomy pamiętników — to zasługa największa, bo dostarcza lektury zobowiązującej wszystkich, którzy chcą spojrzyć prawdzie w oczy, uprzytomnić sobie prawdziwą rzeczywistość społeczną Polski dzisiejszej, rozwiać mgłę nieodpowiedzialnych frazesów.

„Pamiętniki chłopów" to podniesienie kurtyny przed wielką sceną życia mas ludowych.

J. W.

PRAWDA WCIĄŻ ŻYWEJ KRZYWDY

W przedmowie do broszury p. t. „Prawda o Stanisławie Brzozowskim*), Jan Krzesławski oświadcza, że nie zamierza ani „wydawać wyroków w tej zawiłej sprawie, ani wpływać na opinję w jakimkolwiek kierunku", pragnie zaś jedynie „poinformować opinję publiczną, na czem polega istota tej smutnej sprawy i w jakiem obecnie znajduje się stadjum".

Zagłębiając się jednak w tę „Prawdę o Stanisławie Brzozowskim", czytelnik ze zdziwieniem spostrzega, że zapowiedziana na wstępie ścisła przedmiotowość, stopniowo słabnie, a miejscami nawet zaciera się zupełnie pod wpływem szczególnego choć nieznacznego naświetlania rzeczy. Ostatecznie z ducha „Prawdy" wyłania się obraz winy Brzozowskiego i narzuca się nieodparcie, pomimo chęci utrzymania bezstronności a nawet wyraźnego stwierdzenia przez autora braku danych, któreby pozwoliły wreszcie ustalić, że Brzozowski „jest winien lub niewinien". Niepostrzeżenie obraz ten powstaje dlatego, że J. Krzesławski mocno podkreśla zaufanie do zeznań oskarżycielskich Bakaja, do jego prawdomówności i bezinteresownego „posłannictwa". Podnosząc wyraźnie wiarygodność i wagę zeznań skruszonego ochrannika, potwierdzonych w olbrzymiej większości wypadków, J. Krzesławski przez to samo wzmacnia jego oskarżycielskie stanowisko wobec Brzozowskiego i wyłącza możliwość złej woli lub omyłki z jego strony.

Nikt z obrońców Brzozowskiego nie spiera się o pobudki zeznań Bakaja ani o jego prawdomówność w innych sprawach, chodzi wciąż tylko o to, że nieomylność tego nawróconego oprawcy nie może być atutem przeciwko Brzozowskiemu i nie może urastać do znaczenia dowodu jego winy. A innych dowodów ciężkiego, hańbiącego oskarżenia, oprócz gołosłownych zeznań Bakaja nie było od pierwszej chwili i nie ma ich dotąd, pomimo wieloletnich poszukiwań i pilnego przetrząsania dawnych akt carskiej ochrany.

Dziwne również jest stanowisko J. Krzesławskiego w sprawie rewizji procesu, czego domagają się natarczywie obrońcy Brzozowskiego, zgodnie z moralnym testamentem Stefana Żeromskiego. J. Krzesławski jest zdania, że na to jeszcze „za wcześnie", choć od sprawy upłynęło zgórą ćwierć wieku, spodziewa się on bowiem, że prace archiwalne przyniosą jednakże jakieś bliższe dane, jakkolwiek sam podaje, iż to, co z akt ochrany „zostało spalone albo zniszczone, przepadło dla przyszłych historyków".

Ale jeżeli na sądzie krakowskim, oprócz dogmatu nieomylności Bakaja nie przedstawiono żadnego dowodu winy, jeżeli w ciągu lat dwudziestu poszukiwania w aktach ochrany zgoła nie dały wyników, to na cóż czekać w nieskończoność? Aż kamień hańby niezawinionej mchem porośnie lub aż wymrą ostatni świadkowie życia Brzozowskiego?

Pomijając już te wszystkie względy, dość często poruszane i omawiane, pozostaje jednak jeszcze jeden, dotąd niepodnoszony, ale niepozbawiony wagi moralnej: wzgląd na bliskie osoby, na nieprzerwane, wieloletnie tortury moralne żony i córki Brzozowskiego.

Tu nie chodzi tylko o zwykłą prawdę historyczną rzeczy przebrzmiałych i wygasłych, ale o żywą wciąż prawdę, bólem nabrzmiałej krzywdy, wyrządzonej umęczonemu pisarzowi, któremu pozwolono umrzeć bez rehabilitacji i o krzywdy dnia dzisiejszego.

H. L.

*) *Jan Krzesławski:* Prawda o Stanisławie Brzozowskim Warszawa, 1936. Nakładem „Echa Społecznego".

PRACA W WIĘZIENIU

(Dokończenie)

Wprowadzono do więzień jedwabnictwo t. zn. hodowlę drzew morwowych i kokonów jedwabnika. Czy tą drogą uzyskano znaczne zyski, — b. wątpimy,—stwierdziliśmy natomiast, że duża, 30.000 drzewek licząca plantacja morwy wymaga rocznie kilku dni pracy, kilkunastu ludzi. Wielką zaś wylęgarnię gąsienic obsłuży przez 2 m. co roku... 1 człowiek. Wyniki więc, jeśli chodzi o zatrudnienie więźniów, tudzież jeśli chodzi o krzewienie jedwabnictwa po wsiach — są znikome. Podobnie rzecz się ma z zaprowadzeniem w kilkudziesięciu więzieniach hodowli rasowych królików angorskich. W dużej, do tysiąca sztuk liczącej królikarni znajduje zatrudnienie 4 — 6 ludzi. Gospodarcze znaczenie tego pomysłu przedstawia się dość słabo. Jeśli ktoś, nauczony w więzieniu, założy u siebie królikarnię, nie znajduje zbytu dla wyczesanej wełny. Więzienia jej nie skupują, lecz swoją w nieprzerobionym stanie wysyłają obecnie do Anglii, skąd Polska kupuje ją w postaci drogiej przędzy. Jasnem jest, że ideą przewodnią tych imprez nie jest chęć poddania największej liczby więźniów pod zbawcze wpływy pracy. Istniejące zaś dawniej warsztaty są likwidowane lub pozostają w stanie wegetacji. Wyjątek stanowią nieliczne zakłady karne, w których skoncentrowano

produkcję na własne potrzeby więziennictwa. W jednym produkuje się ubrania dla więźniów, w innym bieliznę lub obuwie, inny zaopatruje wszystkie więzienia w druki kancelaryjne. Warsztaty stolarski, szewcki, kowalski, zachowane prawie wszędzie, dokonywują gospodarczym sposobem (a więc bez wynagrodzenia) drobnych remontów w więzieniu, nie przyjmują zamówień od osób prywatnych, tylko od garstki miejscowych sądowników i więzienników, przeważnie reperacje. Naturalnie takie roboty są kalkulowane jaknajtaniej, tak, że po miesiącu na warsztat wypada po kilkanaście dniówek. O wynagrodzeniu proporcjonalnem do wysiłku mowy niema.

Nudząc się w celach więźniowie błagają o wzięcie ich do warsztatów. Przyjmuje się tylko dobrze sprawujących się fachowców i gromadzi się ich 2 — 3 razy więcej, niż robota tego wymaga. Przez to zaś jakąś reperację, za którą można policzyć 1½ — 2 dniówki robi 3 ludzi przez 3 dni, a 4-ch im pomaga. Wynagrodzenie przestaje być bodźcem, bo te 10 — 15 dniówek trzeba podzielić między 4 — 5 ludzi i przytem dniówek I kategorji (obecnie 65 gr.) można dać tylko 20% wszystkich dniówek, — II-ej (50 gr.) i III-ej (35 gr.) po 40%, — biorąc więc średnio po 3 dniówki po 50 gr. na człowieka, otrzymujemy zł. 1,50 miesięcznie, z czego na kapitał żelazny idzie 45 gr., na chleb 60 gr., na machorkę 45 gr. A 1 paczka machorki kosztuje z bibułką 65 gr. Oczywiście i te grosze, to więcej niż nic! Są one nawet przedmiotem zazdrości tych, co i tego nie mają. Ale sam fakt, że przy największej pracowitości człowiek nie może nieraz przez miesiąc na paczkę machorki zarobić mówi mu o bezowocności pracy, uczy go obijać się po warsztacie i pracować najgorzej. Po kilku latach takiej pracy niefachowiec się niczego nie nauczy — fachowiec zaś nauczy się partactwa i fuszerki.

Praca w tych warsztatach w dodatku, jest nieuchwytna. Dozorca nie może sobie zdać sprawy, kto ją wykonał. Dniówki więc, a szczególniej, premie przypadają często nie tyle tym, co zasłużyli, lecz tym, co byli usłużniejsi wobec administracji. Otrzymywanie więc przez więźniów grosze tracą nieraz wszelkie cechy pieniędzy zapracowanych, nabierają natomiast demoralizującego charakteru — napiwku.

Podobnie się rzecz ma z robotami rolnemi. Więzienia prowincjonalne posiadają przeważnie swoje działki gruntu różnej wielkości. Dawniej po za uprawą tych gruntów, wynajmowano także partje więźniów pod dozorem strażników do robót polnych po dworach. Obecnie pracuje się tylko na polach własnych. W okresie kiedy Instytut Puławski obliczał rentowność ziemi na kilkanaście złotych z hektara, Ministerstwo, które dziś nagradza naczelników, ale nie za stan zatrudnienia, tylko za wykazane czyste zyski, wydało okólnik, że hektar uprawnej roli powinien dawać 200 zł. dochodu. Suma nawet dla więzień nieosiągalna. W tych warunkach o wysokości wynagrodzenia więźniów, już nie decyduje maksymalna norma zatrudnienia na hektarze (50 dni rocznie), lecz wzgląd, aby wykazy zatrudnienia wyglądały „przyzwoicie", t. zn. żeby w Ministerstwie widziano, że coś tam jednakże się tym biedakom za robotę daje. A zatem daje się najwyżej jedną czwartą dniówki III kategorji za dzień roboczy w polu, czyli niecałe 9 groszy. Nie zachęcani zarobieniem ludzie starają się pracować najmniej, uczą się traktować pracę na roli niedbale. Najlepszy rolnik uczy się pracować źle!

W tym miejscu należy poświęcić trochę uwagi ostatniemu pomysłowi naszego więziennictwa z przed 3 lat. Otóż kilka więzień (Koronowo, Siedlce) zorganizowało na, specjalnie przydzielonych, większych obszarach t. zw. „Kolonje Rolne" W budynkach, gdzie urządzenia więzienne nie mogą być w pełni zastosowane (co powoduje znaczne łagodzenie regulaminu), umieszcza się kilkudziesięciu więźniów, którzy są stale zajęci w polu i przy hodowli inwentarza. W wolnych od tych zajęć chwilach prowadzi się dla nich wykłady w zakresie szkoły powszechnej i rolniczo - hodowlane, uzupełniane zajęciami praktycznymi i prowadzeniem poletek doświadczalnych. Rozrywek dostarczają: biblioteka, czytelnia gazet (czytanie na głos), radio, pogadanki świąteczne ogólno - kształcące i gry sportowe na powietrzu. Jak widzimy, nie można odmówić takim koloniom pożytku i humanitaryzmu. Aczkolwiek wynagrodzenie za pracę pozostawia, jak i w głównym więzieniu, wiele do życzenia, jednak większa swoboda, nauka i rozrywki rekompensują ten brak.

Dobór więźniów do kolonij jest ograniczony. Umieszcza się tam z reguły ludzi w wieku od 18 do 25 lat, rolników, po raz pierwszy ukaranych, skazanych najwyżej do lat 2 za przestępstwa nie z chęci zysku, i odznaczających się przykładnem sprawowaniem w więzieniu. Rekrutują się oni z młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej i skazani są przeważnie za udział w bójkach z „uszkodzeniem ciała" na wszelkich zabawach tanecznych. W ogromnym odsetku tego typu przestępstw niema mowy o żadnym moralnym upadku lub świadomej złej woli, lecz mamy tu do czynienia z przesadnymi w skutkach przejawami krewkości czy pijackiej brawury. Są to przestępstwa przypadkowe. A więc sprawcy są zazwyczaj normalni pod względem etycznym; nie trzeba ich umoralniać czy duchowo uzdrawiać, — wystarczy dać dobitnie do zrozumienia, iż nie należy zbyt folgować wybuchom swego temperamentu.

Niewątpliwie dobrze jest, że więzienie samo stara się część swoich pensionariuszy izolować od zgubnych wpływów więzienia w postaci np. towarzystwa recydywistów i zawodowców dla niezepsutych wiejskich chłopaków. Dobrem jest także, że więzienie usiłuje krzewić kulturę rolną w naszym tak zaniedbanym kraju. A jednak... nasuwa się myśl b. prosta: czyby nie było słuszniej tych nie zepsutych chłopaków wogóle do więzienia nie posyłać, a karać ich, wcielając do jakichś przymusowych drużyn roboczych na określony termin, który mógł by być skrócony za dobre sprawowanie i pracę. Utrzymanie i płaca odpowiadały by normom więziennym. Drużyny byłyby zatrudnione przy budowie dróg, mostów i robotach melioracyjnych. Różnica między ich wynagrodzeniem i utrzymaniem, a pobierana płacą normalną — szłaby na prowadzenie dla każdej powiatowej drużyny po skończeniu terminu prac, normalnych kursów rolniczych pod auspicjami Min. Rolnictwa. Trzeba bowiem zauważyć, że przy największych staraniach oświata rolna w zakładach, gdzie ukończenie nauki jest warunkowane nie postępami ucznia, ale terminem ukończenia jego kary, często trudnym do przewidzenia, ze względu na wa-

runkowe zwolnienie, musi mieć charakter dorywczy. Jeden wysłucha początku kursu — i wyjdzie; drugi przyjdzie na zakończenie kursu i nie zna początków jego. I jeszcze jedno. Do kolonii deleguje się oczywiście funkcjonarjuszów więziennych mających jakieś przygotowanie fachowe rolnicze. Jeżeli zaś rolnik - fahowiec zamienia swój fach na służbę tak specjalnie przykrą i uciążliwą, jak służba więzienna, — oznacza to, że on w swoim fachu nie dał sobie rady. Nie dobrze zaś jest, aby fachowiec, który sam w swym fachu nie dał sobie rady, uczył innych tego fachu. Zachodzi wtedy uzasadniona obawa, aby krzewienie kultury rolnej nie zamieniło się w rozpowszechnianie niedokształconego partactwa *).

**
*

Kryzys oddziałał na kwestię pracy więźniów. Popyt na tańszą pracę w okresie przesilenia gospodarczego nie zmniejszył się, lecz raczej zwiększył. Przeważyły tu jednak względy skarbowo - dochodowe nad wychowawczymi, a zadecydował, podnoszony przez prasę i resorty gospodarcze moment konkurencji z bezrobotnymi. Trzeba przyznać, że sytuacja, w której zdrowy, silny i chętny do pracy człowiek, aby dostać pracę i zarabiać na chleb, nie ma innej drogi, jak popełnić przestępstwo — jest absurdalna. Odium tego absurdu jednak ponosi nie więzienie, zatrudniające więźniów, lecz ta rzeczywistość, która nie daje pracy ludziom wolnym, pragnącym pracować. Cel zabezpieczenia społeczeństwa przed powrotem ukaranych do przestępstwa, cel osiągalny tylko przy maksymalnym podniesieniu walorów wychowawczych wymierzanej kary, — ten cel nakazuje jaknajszybszy powrót do racjonalnego zatrudnienia więźniów, przy zdwojeniu wysiłków w celu zatrudnienia ludzi wolnych, pracy pozbawionych.

W. W.

---

*) W roku bieżącym Ministerstwo Sprawiedliwości wprowadziło w życie tytułem próby „Karne ośrodki pracy". O ile sądzić można z pierwszych doświadczeń, wydadzą one niezłe wyniki. Ujemną stroną tych ośrodków jest ich sezonowość. W październiku ośrodki się zwija i skazanego na rok czeka jeszcze bezczynny pobyt kilkumiesięczny w więzieniu, co może zniweczyć pewien dodatni wpływ pracy podczas lata.

ANTYSEMITYZM MŁODZIEŻY AKADEMICKIEJ

Antysemityzm na naszych wyższych uczelniach nie jest żadnym sepcjalnym wynalazkiem młodzieży akademickiej, lecz poprostu odbiciem i częścią składową prądu nurtującego w całem społeczeństwie. Nie będziemy się tu zastanawiali nad jego genezą. Przed 50 laty z górą Bebel nazwał antysemityzm socjalizmem głupców. Ta definicja jest słuszna i dzisiaj. Całe drobnomieszczaństwo żyje w przeświadczeniu, że usunięcie konkurencji żydowskiej otworzy niebywałe perspektywy nie tylko dla sklepikarzy, ale i dla lekarzy, inżynierów, adwokatów i t. p. W dobie szalejącego kryzysu i rosnącego w przerażający sposób bezrobocia pracowników zarówno fizycznych jak umysłowych, hasła antysemickie zyskują licznych wyznawców tembardziej, że możni tego świata widzą w walce z żydami pożądany środek do zaciemnienia świadomości klasowej mas wydziedziczonych. Istotny wróg klasy pracującej, kapitalizm usuwa się przez to w cień. Hasła antysemickie stwarzają pewien pozór wspólności interesów pomiędzy wyzyskiwaczem i wyzyskiwanym. Na tym podłożu materialistycznym plenią się bujnie różnorodne „ideologie" antysemityzmu: od pozornie niewinnego hasła „swój do swego" aż do ociekającego krwią rasizmu. Młodzież z natury swojej wrażliwa i nie przygotowana przez szkołę do orientowania się w istocie zagadnień życia społecznego, lgnie do prostackiej antysemickiej propagandy, bije kolegów żydów, demonstruje hałaśliwie w audytoriach, a na ulicy wybija szyby w żydowskich sklepach i tarmosi żydów lub podejrzanych o żydostwo.

Hasło antysemityzmu od lata r. ub. rozbrzmiewa z niebywałą dotąd siłą. Przypominają się walki bratobójcze z r. 1905 i lat następnych.

Na terenie młodzieży endecja zawsze żerowała chętnie. Młodzież akademicka w masie swojej wykonała w porównaniu z okresem przedniepodległościowym zdecydowany zwrot na prawo. Socjaliści stali się mniejszością.

W Polsce niepodległej endecja od pierwszej chwili zapanowała w wyższych uczelniach. Dotyczy to zarówno profesorów, jak studentów. Wśród pierwszych zrobiła pewien wyłom sanacja, chociaż mniejszy, niż się napozór wydaje. Wśród młodzieży przeciwstawiają się endekom zdecydowanie socjaliści i komuniści i częściowo młodzież ludowa. Młodzież sanacyjna, popierana przez rząd moralnie i materialnie, początkowo przedstawiała się dość licznie i buńczucznie, ale zwycięstwa endekom wydrzeć nie zdołała. Taki układ sił sprawia, że nawet najryzykowniejsze poczynania endeków mogą liczyć często na powodzenie, a prawie zawsze na bezkarność, tembardziej, że młody endek wstępuje na uniwersytet już zawczasu urobiony przez endeckich nauczycieli i katechetów. Wychowanie państwowe w niczem nie osłabia wpływu endeckiej ideologii.

W takich warunkach hasła antysemickie muszą plenić się bujnie.

Na jesieni roku ubiegłego burza antysemicka rozszalała ze szczególną gwałtownością. Uwydatniła się przytem niesłychana brutalność. Gromadne napady na jednostki nieoszczędzające nawet kobiet, pędzenie przez szpaler, wyrzucanie nietylko z audytoriów, ale nawet z terenu uniwersyteckiego — to rzeczy powszechnie. Akcja bywa z reguły planowo przygotowana. Bojówka działa pod dowództwem komendy, zajmuje wyznaczone zgóry posterunki, uzbrojona jest w pałki i ukryte w teczkach kastety. Najgwałtowniejsze sceny rozegrały się w listopadzie ub. r. w politechnice lwowskiej. Z 60 pobitych — 15 musiano przewieźć do klinik. Rozruchy trwały do świąt, ale i w styczniu jeszcze nie było całkowitego uspokojenia. Obecnie akcja endecka weszła w nową fazę, niepraktykowaną dotychczas. Padło hasło stałego bojkotu studentów Żydów. Zewnętrznym tego wyrazem jest wyznaczanie dla nich osobnych miejsc w audytoriach i salach ćwiczeń. Bojkot rozciąga się również na chrześcijan, którzy

ośmielają się bronić kolegów Żydów. W ten sposób akcja antysemicka przeistacza się w chroniczną wojnę domową na terenie uniwersytetu. Jest to, niewątpliwie, planowa polityka, dyktowana zgóry, gdyż jednocześnie mnożą się wypadki brutalnych ekscesów antysemickich w rozmaitych punktach kraju, organizacje inteligencji zawodowej, zwłaszcza adwokaci uchwalają wyrzucenie Żydów z odnośnego zawodu i t. d. Jednocześnie gazety endeckie jawnie nawołują do wprowadzenia w Polsce praktyk hitlerowskich i skrzętnie notują wszystkie wystąpienia antyżydowskie. Właściwą akcję antysemicką prowadzą na terenie akademickim małe, ale karnie zorganizowane grupy. Z nich rekrutują się bojówki, z nich wychodzą kandydaci, opanowujący organizacje samopomocowe i koła naukowe. Grupy te mają w ręku całą inicjatywę. Ogół niezorganizowany wprawdzie chce się uczyć, ale chętnie daje posłuch wezwaniom antysemickim i co najwyżej zachowuje się biernie.

W tym stanie rzeczy zachowanie się władz akademickich nabiera szczególniejszego znaczenia. Zdecydowane potępienie ekscesów, a przede wszystkim dotkliwe ukaranie istotnych winowajców mogłoby ukrócić wojownicze zapędy bojówek i ich przyjaciół i dodać odwagi szerokiemu ogółowi, który niewątpliwie chce się uczyć i jak najprędzej przebrnąć ciężkie pod względem materialnym lata studiów. Niestety, dotychczas stereotypowo stosuje się tylko jeden środek — zawieszenie wykładów i wydawanie odezw, wzywających do spokoju. Kary indywidualne zdarzają się wyjątkowo i są zdumiewająco łagodne. Z dziwnym uporem traktuje się na zimno przygotowane awantury, jako żywiołowe wybuchy lub dziecinne igraszki. Próby demaskowania sprawców odznaczają się zdumiewającym niedołęstwem.

Na osobne omówienie zasługuje obecna faza akademickiej akcji antysemickiej.

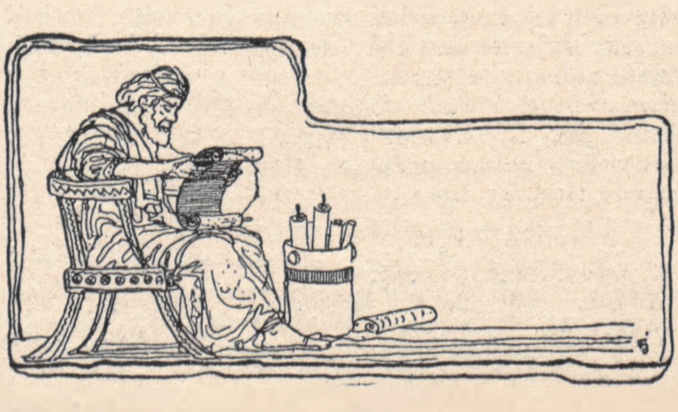
Przeprowadza się z całą bezwzględnością zasadę osobnych ławek dla Żydów, najczęściej na końcu sali. Kto się opiera, jest wyrzucany. Studentów Polaków, siedzących razem z Żydami, poddaje się bojkotowi. To nowożytne ghetto akademickie jest ponoć wynalazkiem lwowskiej politechniki, ale przyjmuje się i w innych uczelniach. Ze zdumieniem i z żalem stwierdzić należy, że we Lwowie nie spotkało się to z solidnym sprzeciwem profesorów i dziekanów. Niektórzy nawet przeciwnie sankcjonowali ten karygodny wybryk, wyznaczając osobne miejsca i sale rysunkowe dla studentów Żydów. Podobno opierającym się grożono relegowaniem.

W Warszawie akcja jest prowadzona z nieugiętą konsekwencją. Niewątpliwie, stanowisko profesorów lwowskich odgrywa tu rolę decydującą. Spróbujmy zorjentować się w motywach ich postępowania. Awantury listopadowe doprowadziły wszystkich do wysokiego stopnia rozdrażnienia. Rozgraniczenie terytorialne stron walczących mogłoby poniekąd uchodzić za rozejm, gdyby postanowienie odnośne było powzięte przez oba obozy. Ponieważ tak nie było, przeto zarządzenie o ławkach stało się paktem, zawartym między profesorami a studentami endekami kosztem honoru mniejszości żydowskiej. Tego już pod żadnym pozorem nie można uważać za objaw uspokojenia się studetnów i za przejście do stosunków normalnych. Profesorowie, którzy w rozsadzaniu studentów podług wyznań widzieli środek uspokojenia umysłów, zawiedli się srodze. Wbrew ich nadziejom napastnicy się rozzuchwalili. Świadczy o tem bojkot już nie studentów, lecz profesorów, którzy publicznie potępili zarządzenie o ławkach. Tak się przedstawia jeden wariant rozumowania niedoszłych pacyfikatorów, oparty na dobrych chęciach.

Istnieje jednak i wariant drugi. Jest publiczną tajemnicą, że część profesorów solidaryzuje się pocichu ze studentami endekami, uważa Żydów za akademików II-ej klasy. Dziwnym zbiegiem okoliczności awantury wybuchają przede wszystkim na wykładach takich profesorów. Gdy przed kilku laty studentka, wyrzucona z audytorium, zwróciła się o obronę do profesora, siedzącego na katedrze, ten ostatni obłudnie rozłożył ręce i poradził jej, żeby sama wyszła. Profesorowie tego typu z reguły nie poznają napastników. Według nich, Żydzi prowokują Polaków już samą swą obecnością i całkowicie zasługują na to, aby im na każdym kroku dawać odczuć niższość.

Jakiż jest ogólny bilans sytuacji, która wytworzyła w uniwersytecie atmosferę niebywale ciężką. Uniwersytet nie może być terenem zasadniczej rozprawy z antysemityzmem. Walkę z nim toczą stronnictwa polityczne: socjaliści, komuniści, różne ugrupowania demokratyczne. Jest ona ciężka, ale musi się skończyć zwycięstwem sprawiedliwości społecznej. W uniwersytecie ostatecznym celem polityki endeckiej jest całkowite usunięcie Żydów i wyeliminowanie ich z zawodów, do których przygotowuje wykształcenie akademickie. Tak samo traktowana jest sprawa profesorów Żydów. Barbarzyństwo endeckie nie oszczędza, idąc śladem hitlerowców, ani nauki, ani zasługi, ani sędziwego wieku. Zdawałoby się, że tępota i wandalizm niemiecki imponuje naszym endekom. Z temi objawami zdziczenia, gwałtem fizycznym, z przemocą moralną, teroryzującą wszystko, co przywykliśmy cenić w życiu kulturalnym, muszą walczyć ci, którzy z obowiązku i stanowiska swego stoją na straży kultury. Profesorowie powinni nieść wysoko sztandar godności nauki, powinni odważnie i szczerze podać rękę młodzieży, która chce pokoju na terenie akademickim, powinni potępić tych, którzy wprowadzają walkę z kolegami i postępowaniem swoiem plamią honor przybytku wiedzy. Krzykliwej demogogii obałamuconej młodzieży i prasy endeckiej powinni przeciwstawić własną odwagę cywilną.

Prof. Zygmunt Szymanowski.



WYDARZENIA I DOKUMENTY

OŚWIADCZENIE POLSKIEGO STRONNICTWA LUDOWEGO

Komitet wykonawczy Polskiego Stronnictwa Ludowego ogłosił komunikat, w którym czytamy m. in.:

„Nie jesteśmy też ślepi na fakt, iż komuniści usiłują przenikać także do Kół tak Stronnictwa Ludowego, jak „Wici" i przyczepiać się do każdej ich akcji — czasem nawet ze skutkiem. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego nawet wtedy, gdy pewne czynniki kierując się bardzo krótkowzroczną polityką patrzyły z nieukrywanym zadowoleniem na przenikanie komunistów (prawdziwych czy nie) do organizacyj ludowych; sądzono zapewne, że w ten sposób ruch ludowy zostanie rozłożony od wewnątrz. Zdajemy sobie sprawę, że i w tej chwili jakaś „jaczejka" komunistyczna może się ukrywać pod firmą Stronnictwa Ludowego czy „Wici", niezawsze łatwa do wykrycia nie tylko ze względu na masowość ruchu ludowego, ale i z uwagi na to, że najnowsza metoda komunistów polega na pozornym przystosowywaniu się do tła i posługiwaniu się językiem danego środowiska.

Że ani władze Stronnictwa Ludowego, ani „Wici" nie patrzą obojętnie i bezczynnie na próby komunistów żerowania na organizacjach ludowych, tego dowodzą fakty wykluczania z tych organizacyj osobników, co do których istnieje uzasadnione podejrzenie o przynależność do partii komunistycznej, jak zresztą i do każdej innej; dowodzą tego okólniki i instrukcje polecające odcinanie się od komunistów nie z obawy represii, lecz ze względu na zasadnicze różnice ideologiczne, które nas dzielą.

Jedno musi uderzyć każdego bezstronnego człowieka: tam, gdzie Stronnictwo Ludowe do głębi przeorało i opanowało teren, tam komuniści nie mają niemal całkowicie dostępu.

Na jedną tylko rzecz pozwalamy sobie zwrócić uwagę: niema nic niebezpieczniejszego jak upraszczanie zagadnień. A upraszcza zagadnienia ten, kto wybuchy, których tak często jesteśmy świadkami, przypisuje tylko „wywrotowej agitacji", a szerzenie się komunizmu jedynie nędzy i działalności „jaczejek" komunistycznych. Tylko całokształt warunków gospodarczych, politycznych i moralnych, w których żyjemy w Polsce, tłumaczy to, co się dzieje".

Z PANOPTICUM

W *Falandze* (nr. 11) czytamy:

„Obyśmy nigdy nie byli obrońcami. Obyśmy byli atakującymi.

Niech nadejdzie dzień, że w stali bagnetów naszych, jak w czystym zwierciadle odbije się wola zdobywcza Narodu. Niech każda nasza myśl i każdy nasz celowy ruch będzie myślą i czynem dążącym do wielkiego celu. Niech przyszła wojna będzie naszą wojną, niech będzie wynikiem naszej woli, nie woli naszych wrogów.

Nie chcemy być obrońcami, nie chcemy ratować zagrożonej Ojczyzny. Chcemy być atakującymi. Nie chcemy odpowiadać, chcemy żądać. Nie chcemy być obrońcami Częstochowy, chcemy być zdobywcami Grunwaldu i Kłuszyna".

WOLELI ŚMIERĆ...

W prasie codziennej opisano wydarzenie następujące:

Przechodzący Błoniami Krakowskimi Władysław Markowski został w pewnym momencie zaalarmowany hukiem strzałów rewolwerowych.

Idąc za odgłosem strzałów, znalazł na trawniku leżące w kałuży krwi ciała dwojga młodych osób.

Jak się okazało, byli to 35 letni Stanisław Wijał i jego 30 l. żona Irena.

Wezwany lekarz stwierdził u obojga rany postrzałowe głowy i przewiózł ich do szpitala.

Wijałowie są nauczycielami w woj. kieleckim. On miał posadę w Różannej, w odległych o 4 klm. Łagowicach.

Przy samobójcach znaleziono list, wyjaśniający przyczynę tragedii.

Małżonkowie pozbawili się życia, gdyż otrzymali posady w dwu odległych od siebie miejscowościach i musieliby być rozdzieleni. Dotychczas mieszkali niedaleko siebie.

Ostatnio Wijał wniósł do kuratorium prośbę o przeniesienie go do jednej miejscowości z żoną. W odpowiedzi na to otrzymał lepszą posadę w jeszcze bardziej odległej Studziennej. Dekret nominacyjny znaleziono u niego w kieszeni.

Decyzją tą małżonkowie przejęli się tak bardzo, że postanowili popełnić samobójstwo. Pomimo przeprowadzonych natychmiast operacji, obydwie ofiary tragedji zmarły.

W związku z popełnionym w Krakowie samobójstwem małżonków Wijałów, nauczycieli szkół powszechnych, spowodowanym wyznaczeniem im stanowisk nauczycielskich w odległych od siebie miejscowościach, z ramienia ministerstwa oświaty przybył do Krakowa, celem przeprowadzenia dochodzeń na miejscu wiceminister Jerzy Błeszyński.

Wicemin. Błeszyński zawiesił w urzędowaniu inspektora szkolnego obwodu koneckiego, p. Figla, oraz polecił wdrożyć przeciw niemu postępowanie dyscyplinarne.

MAKABRYCZNY POMYSŁ

Dziekanat wydziału lekarskiego na uniwersytecie poznańskim ogłosił co następuje:

„Pp. kandydaci (tki) wyznania mojżeszowego z powodu niedostarczenia zwłok żydowskich do dnia dzisiejszego przez gminę żydowską dla nauki anatomii, nie będą dopuszczeni do egzaminu (konkursowego)".

Z tego powodu pisze *Robotnik:*

P. dziekan wydziału lekarskiego w poznańskiej wyższej uczelni sądzi zatem, że każda grupa adeptów do fachu lekarskiego winna zatroszczyć się zawczasu o dostarczenie odnośnej liczby trupów swego wyznania. Bo któż to może wiedzieć, czy aby zwłoki kalwińskie wystarczą dla kandydatów-kalwinów? A czy procent katolików odpowiada ściśle ilości zwłok katolickich? Zjawia się — wyobraźcie sobie — genialny przyszły chirurg wyznania prawosławnego. Aliści w Poznaniu nie ma wcale zwłok prawosławnych. Za to Żyd-bezwyznaniowiec przynosi z sobą zwłoki nieznanego bezwyznaniowca, i ma spokój...

Tak sobie wyobraża życie polskie ów pan dziekan z nieprawdziwego zdarzenia... Otóż p. dziekan wydziału lekarskiego ma kolegów-profesorów na wydziale prawnym. Może oni pouczą p. dziekana, że istnieje w Poznaniu — oprócz medycyny — także ustawodawstwo Państwa Polskiego. To ustawodawstwo obowiązuje także i pp. dziekanów wydziałów lekarskich. Pomysł, żeby stosować prawo egzaminacyjne do liczby dostarczonych zwłok, jest pomysłem dość makabrycznym; tym bardziej trzeba uchronić wyższe uczelnie Rzeczypospolitej przed pomysłami tego typu. A nazwisko tego niezwykłego dziekana trzebaby zakomunikować światu naukowemu.

Może wszak liczyć na... order w „Trzeciej" Rzeszy".

STRAJK TRĘDOWATYCH

Trędowaci deportowani na jedną z wysp na morzu Japońskiem, ogłosili powszechną głodówkę dla poparcia swych żądań.

Domagali się mianowicie polepszenia swego położenia materialnego, dalej najszerszego samorządu, wreszcie odwołania natychmiast dotychczasowego naczelnika ich kolonii.

Sposób traktowania tych najnieszczęśliwszych z nieszczęśliwych, izolowanych od społeczności ludzkiej na jakiejś zapomnianej wyspie, musiał być okropny, skoro pchnął 1100 osób do solidarnego zbiorowego protestu w najjaskrawszej jego formie, jaką jest głodówka.

PO WYBORACH ŁÓDZKICH

Wybory do Rady miejskiej w Łodzi, które się odbyły dn. 27-go września b. r. miały nie tylko znaczenie dla przyszłej gospodarki samorządowej wielkiego miasta, ale przede wszystkim posiadały w osobliwej chwili obecnej cechy wybitnie polityczne.

Walki wyborcze odbywały się nie pod spokojnymi hasłami doskonalenia urządzeń miejskich, porządkowania ulic, bruków, ścieków, zakładania szpitali, przytułków, żłobków i t. d., lecz toczyły się w warunkach wysokiego napięcia politycznych namiętności w imię zasad, które przechodzą dziś ogniowe próby nie tylko w Łodzi.

Zainteresowanie Łodzią podnosiła jeszcze ta okoliczność, że endecja nadała wyborom samorządowym znaczenie plebiscytu rasistowskiego, wzorowanego na hitlerowskim.

Wyniki wyborów w Łodzi są niezmiernie symptomatyczne: zwycięstwo osiągnęła Polska Partia Socjalistyczna, endecja zaś w porównaniu z poprzednim stanem posiadania poniosła klęskę, od której nie uchroniły jej nawet głosy niemieckich wyborców, wyznawców Hitlera na gruncie polskim.

WYMOWNY POKAZ TEATRU DLA DZIECI

Dnia 21 września odbył się w lokalu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie pokaz *Teatru dla Dzieci Płomyka i Płomyczka*, pomysłu i reżyserii p. Haliny Starskiej. Teatr ten, zgodnie z swoim przeznaczeniem wyruszyć ma w objazd całoroczny po Polsce, wyposażony w odpowiednie urządzenia w postaci własnego samochodu, instalacji elektrycznej, dekoracyj i t. d.

Pragnąc jednakże przed udaniem się w tę podróż wypróbować teatr ten na gruncie podwarszawskim, p. Halina Starska urządziła w tych dniach przedstawienie w Wilanowie, t. j. w odległości ośmiu kilometrów od stolicy. I cóż się okazało? W remizie strażackiej, obliczonej na pomieszczenie kilkuset osób, zgromadziło się przeszło tysiąc dzieci w wieku szkolnym, na które teatr ten wywarł fascynujące wrażenie.

P. Halina Starska uderzona wyjątkowym nastrojem sali, przeprowadziła doraźną ankietę wśród obecnych, której wyniki dają obraz następujący: a) olbrzymia większość dzieci nigdy dotąd nie widziała teatru, b) garstka z nich raz widziała cyrk i raz kino, c) niektóre dzieci widziały na miejscu teatr... ale *ukraiński*, który w Wilanowie urządzał przedstawienia przez dwa tygodnie. Co na to Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej?

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA

Apele, fanfary, parady i defilady, przemarsze czarnych i brązowych koszul, poczty sztandarowe, gra potężnych reflektorów, kaskada ogni sztucznych, portrety Führera i mowy, mowy, mowy, podawane przez setki megafonów, — stały się jednym z najskuteczniejszych dotychczas instrumentów rządzenia w hitlerowskich Niemczech. Teatralizacja politycznego życia, przeprowadzana z talentem, godnym stu Reinhardów, hypnotyzuje miljony zachwyconych niewolników.

Ostatni zjazd w Norymberdze był widowiskiem wyreżyserowanym znakomicie: miljony mózgów otrzymały nowy zastrzyk otępiający myśl i podniecający nacjonalistyczne instynkty. Niemcy stały się największą wytwórnią środków na niemyślenie i ślepy posłuch.

Te tłumy zbaraniałe, skoszarowane, stotalizowane, sprusaczone trzeba jednak dopingować nieustannie, podawać im nowe hasła, ukazywać nowe cele, stawiać nowe drogowskazy.

Na zjeździe norymberskim w mowach Hitlera i Goebbelsa oraz we wszystkich innych przemówieniach ogłoszono krucjatę przeciw Rosji sowieckiej. Niemcy biorą na siebie dla dobra „całego cywilizowanego świata" rolę pogromcy Rosji sowieckiej i zapowiadają wrogi stosunek do państw, któreby się do tej krucjaty — pod wodzą Niemiec — nie chciały przyłączyć.

Zjazd norymberski wywołał po za granicami Niemiec efekt niezamierzony. Z niezwykłą solidarnością cała prasa francuska i angielska replikowała Hitlerowi w sposób w najwyższym stopniu lekceważący, jeśli nie urągliwy.

Karol Maurras pisze w nacjonalistycznej i monarchistycznej *Action Française:*

„Wróg nr. 1 nazywa się Hitler, jak dawniej nazywał się Wilhelm II czy Fryderyk II. Nawet hordy moskiewskie są mniej niebezpieczne dla Francji, niż anarchia Germanii zdyscyplinowana, zmilitaryzowana, sprusaczona. Jeśli istnieją konserwatyści, którzy o tym wątpią, są godni litości".

Poseł de Kerrilis oświadcza w *Echo de Paris:*

„Hitler powinien wiedzieć, że nacjonaliści francuscy nie dadzą się złapać w pułapkę i nie będą tolerowali pretensii Hitlera do dyktowania Francji jej polityki zagranicznej".

Le Temps stwierdza, że „mowy norymberskie wnoszą nowy element niepokoju do sytuacji międzynarodowej.

W najpoważniejszych pismach angielskich znajdujemy odprawę równie ostrą.

Manchester Guardian pisze o mowach norymberskich:

„Przed zagranicznymi dyplomatami wygłaszają przywódcy narodowo-socjalistyczni, którzy pretendują do przemawiania w imieniu 60 milionów Niemców, kolejno mowy, które, jeśli chodzi o gwałtowność i zupełną pogardę dla rozsądku, mogą zająć godne miejsce obok przemówień w piwiarniach monachijskich, wygłaszanych wówczas, kiedy cały ich ruch znajdował się jeszcze w zaczątku. Dzikie wymyślania Goebbelsa pod adresem Sowietów i Żydów, jego osobiste ataki przeciw funkcjonariuszom sowieckim i jego absurdalne uwagi na temat rządu hiszpańskiego każą wprost z rezygnacją odwrócić się i zwątpić o narodzie, który może słuchać takich nonsesów".

Daily Telegraph zapytuje ironicznie, czemu to rząd niemiecki tak się obawia „sił rewolucyjnych", jeśli jest rzeczywiście „reprezentantem nastroju i ducha narodu niemieckiego".

Times widzi istotny sens polityki niemieckiej w zbrojeniach, które mają być „usprawiedliwione walką z bolszewizmem", lecz które w istocie służą niemieckim planom imperialistycznym.

Star pisze:

„Mowy wypowiedziane na kongresie i kampania prasowa, która je poprzedziła, są dowodem fanatycznej determinacji rozbicia Europy na dwa obozy. Byłby to podział sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Jest to koncepcja barbarzyńska, wysławiająca się przy pomocy terminologii wieków średnich".

Świat polityczny europejski nie przyjął oferty Hitlera. Dał mu do zrozumienia — najwyraźniej w mowie premiera Bluma — iż zdaje sobie sprawę, ile — jak to słusznie pisze Bolesław Koskowski w *Kurierze Warszawskim* „skrytego egoizmu narodowego i ile uroszczeń imperialistycznych kryje się pod pokrywką krucjaty antibolszewickiej".

Bo, oczywiście, za owo niemieckie przewodnictwo w walce z Rosją sowiecką, gdyby było przez państwa europejskie akceptowane, grubo kazałaby sobie III-cia Rzesza zapłacić. Cała gra Hitlera jest zbyt przejrzysta, niezgrabna, fatalna. Nie udało się.

Megalomania jest zawsze niebezpieczna, a cóż dopiero w fazie jej gorączki największej. Sukcesy wewnętrznej reżyserii wprowadziły Hitlera w błąd: co sugestionuje, hipnotyzuje i oślepia miliony Niemców, to nazewnątrz, po za granicami Niemiec, nie działa zupełnie. Wprost przeciwnie: im więcej fanfar, parad, marszów, pocztów sztandarowych, im cięższa mgła nad umysłami w Niemczech, tym więcej trzeźwości w stosunku świata politycznego do Niemców.

LISTY CZYTELNIKÓW «EPOKI»

Od p. Stanisława Bukowieckiego, Prezesa Prokuratorii Generalnej otrzymujemy list poniższy, na którego treść zwracamy uwagę Zarządu m. st. Warszawy.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr. 7 (72) *Epoki* z dn. 5 września zamieszczony został list p. Józefa Węglińskiego, dotyczący sprawy nazw ulic Krajewskiego i Zajączka w Warszawie. Sprawa nadawania nazw ulicom warszawskim regulowana dotąd bardzo chaotycznie, wymagałaby wogóle gruntownego rozważenia i uporządkowania. Celem niniejszego listu jest jednak omówienie jednej tylko kwestii szczegółowej, poruszonej przez p. Węglińskiego, a mianowicie kwestii nazwy ulicy Krajewskiego. Słuszny jest zarzut p. Węglińskiego, iż wobec tego, że w Warszawe było kilku wybitnych i zasłużonych ludzi nazwiskiem Krajewski, konieczne jest wskazanie imienia tego, kogo ma nazwa ulicy uczcić. Opuszczenie imienia jest w danym wypadku tym bardziej rażące, że chodzi o nazwę ulicy obok Cytadeli, gdzie właśnie dwaj Krajewscy Henryk i Rafał byli więzieni. Pan Węgliński wyraża opinię, iż intencją magistratu było uczczenie pamięci Rafała Krajewskiego, członka Rządu Narodowego, straconego na stokach Cytadeli. Daleki jestem od kwestionowania tytułu tego męczennika idei narodowej do dowodu pamięci społeczeństwa w postaci nazwy ulicy. Pragnę jednak zaznaczyć, że rzetelny tytuł do odznaczenia narodowego ma również Henryk Krajewski i byłoby ze wszech miar słuszne, gdyby jedną z ulic Warszawy jego imieniem nazwano.

Henryk Krajewski, urodzony w r. 1824 w województwie lubelskim, był synem wójta gminy wiejskiej, kształcił się na kursach prawnych w Warszawie i na wydziale prawnym Uniwersytetu w Petersburgu. Wkrótce po powrocie z tych studiów do kraju, przystąpił do działalności politycznej i konspiracyjnej, naturalnie o celach niepodległościowych, której następstwem było jego aresztowanie. W Cytadeli warszawskiej spędził w więzieniu celkowym przeszło rok, poczym w r. 1850 został wyprawiony do ciężkich robót w Nerczyńsku. Przeszedł tę olbrzymią drogę przykuty do sztaby żelaznej łącznie z innymi skazanymi, przeważnie pospolitymi zbrodniarzami kryminalnymi. Podróż w tych warunkach odbywana trwała trzy lata. Krótszą była kaźń na miejscu. Po śmierci cara Mikołaja w r. 1855 los wszystkich przestępców politycznych został znakomicie złagodzony. Krajewskiemu też pozwolono naprzód mieszkać swobodnie na Syberii, a następnie w r. 1859 do Warszawy powrócić. Tutaj trafił Krajewski na żywy przed powstaniowy ruch narodowo-społeczny, w którym też wziął udział nie tylko gorący, ale i wybitny, zbliżył się w Warszawie do grupy Żmichowskiej i Jurgensa. Gdy powstała w Warszawie t. zw. delegacja obywatelska, uważana przez najznaczniejszą część społeczeństwa za jego przedstawicielkę, Krajewski powołany został na sekretarza delegacji i w tym charakterze właściwie pracę jej prowadził. W początku r. 1862 został znów aresztowany i wywieziony do guberni tambowskiej, gdzie blisko rok przepędził. Powrót Krajewskiego do Polski przypadł prawie w chwili wybuchu powstania styczniowego i Krajewski wstąpił do służby w organizacji powstańczej. W tej tajnej służbie zajął stanowisko wybitne i pod rządami Traugutta był dyrektorem spraw zagranicznych. Ta jego funkcja nie została w procesie Traugutta ujawniona, czem się też tłomaczy, że Henryk Krajewski nie został stracony, ale znów wywieziony do wschodniej Rosji, gdzie przez 6 lat przebywał i za amnestią powrócił do Warszawy w r. 1870.

Sądzę, że dwudziestolecie życia Henryka Krajewskiego pomiędzy 1850 a 1870 r. przedstawia obraz nawet na tle martyrologii politycznej Polski tak w ofiary dla sprawy narodowej bogatej, jednak dość wyjątkowy. Zesłania trzykrotne i warunki pierwszego zesłania, hart w tych przejściach okazany, powrót do tak niebezpiecznej służby narodowej, po ukończeniu każdej z tych kaźni, to są rysy charakteru i działalności, które zasługują na szczególnie wysoką ocenę.

Ostatnie ćwierć wieku przeżył Krajewski w Warszawie, gdzie pracował jako adwokat o ogromnej praktyce. W działalności zawodowej Krajewski wykazał wielką wiedzę prawniczą, bezinteresowność, koleżeńskość, sumienność w pełnieniu obowiązków i energię pracy zupełnie wyjątkową. Miałem szczęście rozpoczynać zawód prawniczy pod kierunkiem Henryka Krajewskiego, jako jego pomocnik, widziałem więc jego pracę, a przede wszystkim poznałem jego wielki charakter, któremu równego nie spotkałem.

Nie zaniechał też Krajewski i w ostatnim okresie życia działalności społecznej. W tej dziedzinie zaznaczyć należy założenie i prowadzenie przez niego kasy wzajemnej pomocy adwokatów, instytucji, której znaczenie w owym czasie wybiegało daleko poza skromne ramy z nazwy wynikające. Majątek swój Krajewski zapisał na utworzenie i prowadzenie fundacji „Charitas", przeznaczonej na stypendia dla kształcącej się młodzieży z pośród ludu.

Marian Dubiecki, członek Rządu Narodowego i autor książki o Traugucie, który był gorącym wielbicielem pamięci Henryka Krajewskiego, zbierał materiały dla opracowania gruntownej o nim monografii, jednak ku szkodzie historiografii polskiej walki o niepodległość, nie zdołał zamiaru tego dokonać.

Gdy obecna ulica Krajewskiego na Żoliborzu otrzymać miałaby nazwę Rafała Krajewskiego, to uważam, że inna ulica w pobliżu Cytadeli, albo zresztą i w innej części miasta, z którym cała działalność Henryka Krajewskiego była ściśle związana, powinna być imieniem Henryka Krajewskiego nazwaną. Będzie to aktem sprawiedliwości.

Z wysokim poważaniem

Stanisław Bukowiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Z. K. w Częstochowie. Replikowały *Warszawski Dziennik Narodowy* i *Prosto z mostu.* Bronią A. Doboszyńskiego argumentem, że pornograficzną powieść „Słowo ciężarne" napisał „przed konwersją", że to są jego „grzechy młodości", po których się „odrodził". Pisma te dodają, że i św. Paweł grzeszył w młodości. Jak Pan widzi, Adam Doboszyński mocno przez to porównanie awansował. Trzeba dodać, że powieść A. Doboszyńskiego, wydana w roku 1931, nie została po jego „konwersji" wycofana z handlu księgarskiego...

Panu Stanisławowi G. w Zakrzewie. Dziękujemy.

Panu S. S. w Nowym Tomyślu. Słusznie.

Panu Zdzisławowi K. w Tarnopolu. Nie dla „Epoki".

Pani Janinie M. w Łodzi. Prosimy o nadesłanie rękopisu.

Panu Wincentemu Z. w Poznaniu. Zapomniał Pan o istnieniu cenzury.

Panu Mieczysławowi W. w Krakowie. Dziękujemy, wysłaliśmy.

Panu Janowi R. w Przemyślu. Co innego satyra, a co innego „dowcipuszki".

Pani Helenie M. w Radomiu. Wrócimy jeszcze do tej sprawy.

Panu Kazimierzowi W. w Wilnie. Nie możemy zamieścić.

Panu Wacławowi K. w Kaliszu. Nie można polegać na pogłoskach, trzeba mieć dokumenty niezbite.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał bieżący

Do n-ru niniejszego dołączamy blankiet P. K. O.

Książki nadesłane

Jan St. Bystroń: Kultura ludowa. „Nasza Księgarnia". Związek Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa, 1936.

Bronisław Wieczorkiewicz: Mały słownik ortograficzny. „Nasza Księgarnia. Warszawa, 1936.

Stefan Napierski: Lirycy francuscy. Tom I. Skł. główny w księgarni J. Mortkowicza. Warszawa, 1936.

Jan Krzesławski: Prawda o Stanisławie Brzozowskim. Nakładem „Echa Społecznego". Warszawa, 1936.

Benedykt Szeftel: Symfonia zmysłów. Nakładem Ignacego Trębacza. Łódź, 1936.

Dr. Rudolf Steiner: Kurs ekonomii społecznej. Autoryzowany przekład dr. M. P. O. Wydane staraniem Polskiego T-wa Antropozoficznego. Skł. gł. u Wł. Michalaka. Warszawa, 1935.

Hugo Kritz: Na szóstem piętrze. Tom II Biblioteka „Dziennika Poznańskiego", 1936.

Michał Świrski: Drogi w nieznane. Poezje. Księgarnia F. Hoesicka. Warszawa, 1936.

Józef Krzyżanowski: Proces Janosika. Odbitka z „Przeglądu Współczesnego". Warszawa, 1936.

Zbigniew Krasuski: Zamierzenie organizacyjne. Warszawa, 1936.

Inż. Aleksander Pawłowski: Obecna polityka taborowa w Polsce. Warszawa, 1936.

Pamiętniki Chłopów. Serja druga. Wydawnictwo Instytutu Gospodarstwa Społecznego. Warszawa, 1936.

Dr. inż. Adolf Langrod: Rzut oka na powstanie kolei żelaznych. Warszawa, 1936.

K. Czukowskij: Bajki. Przełożył Władysław Broniewski. Rysunki W. Konaszewicza. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1936.

Zbigniew Uniłowski: Żyto w dżungli. Z 32 ilustracjami. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa, 1936.

Charles de la Roncière: Listy Napoleona do Marii Ludwiki. Przełożył Wacław Rogowicz. Z 31 ilustracjami. Warszawa, 1936.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3020 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.